Dziewczyna spojrzała na niego przerażona, ale nie odpowiedziała.

– No, idź. Ja tam teraz mieszkam. To twoja szansa.



Fragment życiorysu Frandli Szylit.

Szylitówna opuściła głowę i ruszyła przed siebie. Przeszła przez ulicę pomiędzy wysiadającymi z aut ludźmi i weszła do budynku. Dopiero w komórce pod schodami zaczęła trząść się, jak listek. Siedziała tam kilka godzin przykryta starymi szmatami. Bała się nawet normalnie oddychać. Myślała, co będzie, jak ją znajdą. Żałowała swojej decyzji. Zostawiła przecież ojca i matkę. Z drugiej strony, to oni od wielu dni namawiali ją do ucieczki, że niby nie wygląda na Żydówkę i łatwo jej będzie uciec.
Słyszała krzyki wywożonych ludzi i warkot silników ciężarówek. Kiedy odjechały, zrobiło się przeraźliwie cicho. Nasłuchiwała głosu, bijącego w przyśpieszonym rytmie, serca.

Wieczorem przyszedł Dawid i przyniósł jej kolację.

– Co teraz? – spytała i rozpłakała się. – Musisz przeczekać tu z tydzień. Nie płacz. Tak było trzeba.

– A moi rodzice?

Dawid odpowiedział dopiero po chwili.

– Ciężarówki pojechały na kolej do Łasku. Gdzie dalej? Nie wiem.

W ciągu kilku następnych dni dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Niemcy biegali po schodach tuż nad jej głową. Pokrzykiwali. Przeszukiwali wszystkie kąty. Zajrzeli nawet do jej kryjówki, jednak leżąca w ciemnym kącie sterta starych szmat nie przyciągnęła ich uwagi. W końcu opuścili budynek. Frandla postanowiła wyjść z ukrycia i udać się po pomoc do sąsiadów. Do ludzi, o których wiedziała, że jej nie wydadzą.

– Co to za harmider? – spytał panią Marię, siedzący w kuchni u Wejmanów Volksdeutsch Pospiszył, właściciel magla.

– Nic nie słyszałem – powiedział Ulański.

Gospodarz wstał od stołu.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Pójdę zobaczyć.

Po chwili wyraźnie usłyszeli hałasy dobiegające z korytarza i Wejmana, który od razu, kiedy wrócił do kuchni, zaczął łajać żonę.

– Koguta zamknęłaś pod schodami? Narobił tylko. Mówiłem, żeby go do klatki dać, a nie pod schody.

Goście uśmiechnęli się, a pani Maria zrazu zdziwiona, odezwała się bez przekonania.

– Miałam go dać do klatki, ale zapomniałam. Zaraz to zrobię.

– Już go puściłem na podwórko. Jutro będziemy go łapać niech sobie jeszcze pochodzi przed niedzielnym obiadem.

Wejmanowa spojrzała pytająco na męża, ale ten zasiadł ponownie do stołu.

– O czym to mówiliśmy? – spytał.

– A późno już. Czas do domu – Władek Ulański zaczął się zbierać do wyjścia.

– To i ja pójdę. Do jutra – Pospiszył ruszył za sąsiadem.
Kiedy wyszli, Wejmanowa spojrzała na męża.
– Co ty znowu z tym kogutem wymyśliłeś? Co się stało?
– A to się stało, że do nas, jak do bóżnicy ciągną. Toż znowu gościa mamy. Młoda Szylitówna z getta uciekła. Zemdlała mi tam w korytarzu, hałasu narobiła, a tu jeszcze ten siedzi – wskazał na krzesło, na którym przed chwilą siedział Volksdeutsch. – Niech by tylko się wydało, że Żydom pomagamy... Wsadziłem ją pod schody i nakazałem, żeby cicho siedziała. Strasznie jest wygłodzona i brudna. Idź no, zajmij się nią. Wsadź na strych. Jutro zastanowimy się, co dalej. Że też cholera akurat wtedy, jak Franek się ukrywa... Parafię też zlikwidowali...– Wejman podrapał się po głowie. – Coś wymyślę, ale ranek mądrzejszy od wieczora.

Kilka następnych dni upłynęło Wejmanowi na załatwianiu spraw związanych z przerzutem dziewczyny przez granicę Wartheland i Generalnej Guberni. Rozmawiał ze znajomymi. Był w Piotrkowie i w Rożdzinie, koło Parzna. Kilkakrotnie chodził do Pabianic. W międzyczasie pani Maria wyjaśniła Frandli, że przeprowadzą ją przez granicę i że dostanie nową tożsamość. Tylko, że jako przyszła katoliczka, musi nauczyć się pacierza. W końcu udało się. Po tygodniu na podwórko państwa Wejmanów wjechał furmanką Michał Dębowski z Rożdzina.

– Szczęść Boże.
– Bóg zapłać – odpowiedział Wejman. – Siadaj, Michał – wskazał mu ławkę pod płotem. – Właściwie wszystko już wiesz. Tyle tylko ci dodam, że ta dziewczyna nie musi znać całej prawdy. Zresztą to i dla niej i nas lepiej. Dlatego ty będziesz dla niej Janek. Dokumenty wam zaniosę za kilka dni. Miały być na dzisiaj, ale były pewne przeszkody w Pabianicach u tego człowieka, co mi je wyrabia. To tylko do twojej wiadomości. Chodź teraz do mieszkania. Powiemy jej tylko tyle, ile musi wiedzieć.
Wejmanowa przyprowadziła dziewczynę.

– To jest Janek – pan Adam przedstawił młodzieńca. – Przebierzesz się za chłopkę i pójdziesz z nim do Piotrkowa. Po drodze przenocujecie jeszcze u siostry mojej żony, Felicji Chrzanowskiej, w małej wsi Żądła, koło Mzurek. W Piotrkowie zamieszkasz jakiś czas u rodziny Janka. Ja tam do was przyjdę. Przyniosę ci dokumenty na nazwisko zmarłej Zofii Dębowskiej. W Piotrkowie zgłosisz się do Arbeitsamtu. Tam wszystko załatwione. Pojedziesz do pracy, do Austrii, gdzie nikt ciebie nie będzie szukał.
– Dziękuję, panie Wejman – powiedziała dziewczyna ze łzami w oczach. – Jest pan prawdziwym bohaterem.
Wejman spojrzał na nią i pogłaskał po głowie.
– Większymi bohaterami są ci, co nie wiedzą komu, a pomagają. Narażają życie swoje i swoich rodzin. A, ja? No, cóż? Przyszła do mnie biedna dziewczyna z prośbą o pomoc. Żaden prawdziwy chrześcijanin nie odmówi w takiej chwili.

Wesele

Niedzielne, wrześniowe popołudnie sprzyjało odpoczynkowi. Ignacy Szkudlarek położył się po obiedzie, a jego żona zamierzała wyjść na podwórko, żeby razem z sąsiadkami poplotkować na świeżym powietrzu. Dzieci: Kasia, Franek, Rózia i Krysia poszły do Bujen odwiedzić rodzinę i nazbierać grzybów, które w tym roku obrodziły jak nigdy dotąd. Nieoczekiwanie ktoś zapukał do drzwi.

– Przyszliśmy na wesele prosić – powiedziała już od progu siostra Szkudlarkowej, Józefa Dąbrowska, wskazując dwoje młodych ludzi, którzy stali za nią, trzymając się za ręce.
– Wstawaj, Ignacy! – krzyknęła pani Teresa – gości mamy. Felek Tyluś z Czesią Szwedzką i Józka przyszli – dodała.

– Chcieliśmy na wesele prosić – powtórzyli młodzi z radosnym uśmiechem. – Tyle wujowi zawdzięczamy. Gdyby nie wujo, to po tym pożarze nie mielibyśmy gdzie mieszkać, a tak chałupa, jak nowa i jeszcze dla nas i gromadki naszych dzieci służyć będzie – powiedział Felek, zerkając na swoją śliczną żonę, która zarumieniała się pod wpływem jego słów. – Zresztą jesteśmy też rodziną, od strony ojca – dodał.

– No tak, rodziną... – powiedział Szkudlarek. – Nawet nie taką daleką, bo to widzisz twój dziadek i moja siostra...

– Ignacy – przerwała pani Teresa – daj teraz spokój. Na stojąco będziesz z gośćmi rozmawiał?

Gospodarz podrapał się w głowę.

– Proszę. Wchodźcie dalej. Siadajcie – zaprosił wskazując na miejsca przy stole.

– Zabrałam się z moimi sąsiadami, bo też nowiny mam, ale później powiem jakie – powiedziała Józka i uśmiechnęła się tajemniczo. – A oni – wskazała na Czesię i Felka – już wcześniej planowali się pobrać i lata ku temu mieli. Nie myśleli, że od września Szwaby nowe prawo wprowadzą i znowu wiek podniosą. Teraz chłop może się żenić, jak ma 28 lat, a kobieta – 25. Poszli więc do Protektoratu. Za tydzień wesele. W domu na Zachodniej.

– Szkoda, że nie w naszym kościele – wtrącił Ignacy.

– Byliśmy tutaj – odpowiedział chłopak – myśleliśmy, że po cichu jakoś z proboszczem załatwimy. On sam nas odesłał, bo Niemcy już w czerwcu zabrali im wszystkie pieczątki i dokumenty. Kontrole jakieś robią w parafii, że niby to metryki zmarłych parafian wydaje i polskim bandytom pomaga lewe papiery wyrabiać. Proboszcz mówił, że jak ostatnia komunia w lipcu była, to już wtedy dzieciom obrazki komunijne dawał bez pieczątki parafii. A po tygodniu, to z drugiej tury komunijnej kilka dzieci razem z rodzicami aresztowali i na roboty wywieźli.

– I wtedy kościół zamknęli – wtrąciła się do rozmowy dziewczyna.

– Już za dzieci się biorą! – zdenerwował się Ignacy. – Skurwysyny jedne, faszyści. Niech ich piekło pochłonie! – złorzeczył.

Pani Teresa spojrzała na siostrę i dla uspokojenia rozmowy zmieniła temat.

– Miałaś jakieś nowiny mówić.

– Prawda! – przypomniała sobie kobieta i uśmiechnęła się pogodnie. – List od chłopców przyszedł. Żyją i są za granicą.

Szkudlarkowa przeżegnała się.

– Bogu dziękować. Co dzień modliłam się o nich do Jasnej Panienki. Gdzie są? Czemu tak długo nie dawali znaku życia?

– We wrześniu dostali się do łagru[80]. A niedawno zostali zwolnieni i poszli do polskiej armii, jaka się tworzy w Związku Radzieckim. Ich dowódcą jest generał Władysław Anders. I tyle wiem. Za dużo się nie rozpisywali, ale są cali i zdrowi i to najważniejsze.

– Bogu dzięki! – powiedziała ponownie pani Teresa.

– Polska Armia u Sowietów się tworzy? – Szkudlarek spojrzał na szwagierkę z niedowierzaniem. – Chyba coś pomyliłaś. Polscy żołnierze z bolszewikami?

– Nie z bolszewikami, tylko w polskiej armii. Mają polskie dowództwo i o Polskę będą walczyć.

– Tak, tylko jaką? – machnął ręką. – Bo...

– Daj spokój Ignacy. Ważne, że żyją. A Poldek? Jak się czuje? – Szkudlarkowa zmieniła temat rozmowy.

– Już doszedł do siebie, ale długo chorował. Z domu jeszcze nie wychodzi. Wiecie przecież, że więzienie to nie sanatorium, a on najpierw ten Radogoszcz, później obóz w Buchenwaldzie. Samo to, że jak uciekał, to dwa dni w jakimś stawie przesiedział. Tam się doprawił, bo słaby był i wygłodzony. Mało się tam tej amunicji nadźwigał?

[80] *Łagier – obóz pracy przymusowej w Związku Radzieckim.*

Szkudlarek, widząc, że szwagierce pojawiły się łzy w oczach, złapał żonę wpół, jak do tańca i zaczął się z nią kręcić po mieszkaniu.

– No, to pobawimy się trochę! Popijemy! Potańcujemy i pośpiewamy! Jak za dawnych lat! – kręcili się dookoła. – I pośmiać się trzeba czasem. Póki można.

Zaczął śpiewać weselną przyśpiewkę:

„Trzeba się napić, kurde mol, chce tego serce, dusza. Trzeba się napić, kurde mol, póki się człowiek rusza!"

Nadszedł dzień wesela. Młoda para siedziała za stołem na honorowych miejscach, tuż pod wiszącym na ścianie napisem: „Szczęść Boże Młodej Parze". Weselnicy jedli, pili i tańczyli. Na stołach nie brakowało niczego. Nikt nie poznałby, że to trudne, wojenne czasy. Stoły w jednej izbie, w drugiej tańce i grajkowie, którzy wesoło przyśpiewywali co chwilę do „Młodych":

„Chodził do cię Jasiek. Chodził cały roczek, aż wychodził tyle, że mu dałaś… jabłko. Oj dana! Oj dana!...

A ten nasz Pan Młody, bez wąsów i brody. Nogi pokrzywione. Nijakiej urody! Oj dana! Oj dana!..."

Zgodnie z tradycją o północy zaczęły się oczepiny. Właśnie zdjęli pannie młodej welon, gdy do mieszkania wpadli żołnierze.

– Hände hoch! – zabrzmiało, jak grom z jasnego nieba.

Niemcy skierowali lufy karabinów w stronę weselnych gości. Wystraszeni ludzie wstali z rękami w górze. Do środka wszedł Rensner. Wskazał głową w kierunku młodego małżeństwa. Na dany przez oficera znak podeszli do nich dwaj hitlerowcy.

– Pójdziecie z nami – powiedział jeden łamaną polszczyzną.

Po chwili wyszli, prowadząc więźniów, pozostawiając rodzinę w niemym osłupieniu i w nieuzewnętrznionej jeszcze rozpaczy.

Kościół katolicki – represje

Prześladowania wobec ludności cywilnej, głównie Polaków i Żydów, były coraz większe. Na jakiekolwiek akty oporu i działania prowadzone przeciw Trzeciej Rzeszy, faszyści reagowali kolejnymi represjami w postaci aresztowań, deportacji i egzekucji. W zamkniętym kościele Niemcy urządzili magazyn ze zbożem, a 6 października 1941 roku gestapo aresztowało proboszcza Zycha i księdza Olszyńskiego, który pracował w parafii po księdzu Adamczyku. Represje wobec księży katolickich były powszechne. Tego dnia Niemcy aresztowali też proboszcza parafii Parzno, budowniczego zelowskiego kościoła, księdza Jana Grodkiewicza i wielu innych duchownych Diecezji Łódzkiej.

Wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim, która wybuchła 22 czerwca 1941 roku, pociągnęła za sobą ogromne ludzkie i materialne koszty. Każdy Niemiec zdolny do służby wojskowej wcielony był do armii. Fabryki produkujące sprzęt wojskowy, broń i amunicję napędzane były pracą rąk, kosztem zdrowia i życia robotników przymusowych ze wszystkich podbitych narodów Europy. Prowadzenie wojny na dwóch frontach wymagało zwiększenia zapotrzebowania wojska w zakresie sprzętu i uzbrojenia. Do produkcji na potrzeby armii potrzebna była ruda żelaza oraz wszelkiego rodzaju metalowy złom, który można było przetopić w hutach. Niemcy wpadli więc na pomysł wykorzystania dzwonów z katolickich kościołów, jako materiału w fabrykach zbrojeniowych. Zdjęli je z zelowskiej świątyni. Mimo sprzeciwu mieszkańców osady, głównie katolików, rozbili je i wywieźli. Tylko dzwonu w Parznie nie udało się zdjąć, bo nie było możliwości zdemontowania go z wysokiej wieży. Dzwony z dzwonnicy przy kościele w Łobudzicach próbowały „obronić się same". Kiedy zostały odcięte, wryły się w grząską od deszczu ziemię tak mocno, że niemieccy złodzieje musieli używać koni, aby wyciągnąć je z błota.

Msze u Guderskich

W połowie października ksiądz Zych został zwolniony z aresztu. Wrócił do Zelowa i natychmiast wznowił rozpoczęte już we wrześniu starania o otwarcie kościoła. Pozbawieni swojej świątyni zelowscy katolicy na czele z wybranymi przez nich osobami – proboszczem parafii Zygmuntem Zychem, Józefem Radziszewskim i Franciszkiem Pruszakiem wysłali do burmistrza Bergera taką prośbę. W odpowiedzi na pismo, Berger wyraził zgodę na odprawianie mszy świętych pod warunkiem znalezienia innego niż kościół, skromnego pomieszczenia.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków – odpowiedziała zdziwiona pani Irena Guderska gościom wchodzącym do jej domu przy ulicy Kilińskiego 3. – Cieszę się z takich odwiedzin, ale ciekawa jestem, co księdza proboszcza tu do mnie sprowadza i w dodatku w asyście aptekarza i sąsiada… Proszę, proszę siadać – podsunęła krzesła.

Usiedli przy stole. Ksiądz Zych rozejrzał się powoli dookoła i powiedział:

– Szanowna pani Guderska. Z wieloma osobami rozmawialiśmy. W końcu zdecydowaliśmy, że to właśnie pani i ten dom, który zawsze był miejscem praworządności i oddania dla społeczeństwa oraz respektowania przykazań wiary katolickiej, jakie świętej pamięci mąż pani, Wacław, i pani dawaliście, mógłby stać się na te ciężkie czasy Domem Bożym. Nasze władze okupacyjne wydały nam, katolikom, takie zezwolenie, ale póki co, nie możemy modlić się w naszym kościele. Tak sobie też myślimy, że przecież Jezus nie rodził się w pałacach i nie nauczał w luksusach. A podsumowując, przyszliśmy prosić panią, pani Guderska, o zgodę.

Pani Irena zakryła twarz i zaczęła płakać.

– Że też mój mąż tego nie doczekał. Oczywiście, że tak. Zgadzam się.

– No, nie trzeba płakać – zaczął ją pocieszać sąsiad. – Pani mąż też brał w tym udział – Pruszak wskazał ręką w górę – i za jego wstawiennictwem do Pana Boga to się stało.

Kobieta wytarła łzy.

– Bóg zapłać za dobre słowa, ale jeszcze przyszło mi na myśl... Jak się tu wszyscy pomieszczą?

– Zimą będzie trochę ciasno, ale latem to na podwórku jest dość miejsca – odparł milczący do tej pory aptekarz Radziszewski.

– Tak – wtrącił ksiądz Zych. Tu chodzi o modlitwę, a nie o wygody. Ważne, że wierni będą mogli spotykać się podczas mszy. Będą mogli wyspowiadać się z grzechów i przyjąć najświętszy sakrament. Będziemy chrzcić nowo narodzonych i łączyć w akcie małżeństwa pary chcące założyć rodziny.



Rodzina Guderskich. Od lewej: Józef Guderski z żoną Apolonią. Obok Józefa – Wacław Guderski – przed nim – Irena Guderska. W środku rodzice Ireny – Marianna Zatorska z mężem. Z prawej: Edward i Maria Zatorscy.

Msze będą odprawiane raz w miesiącu. Tymczasem będę korzystał z gościnności pana Radziszewskiego i jego małżonki.

Wkrótce skromne pomieszczenia służące, na co dzień, jako zwykłe mieszkanie, stały się miejscem modlitwy parafian wyznania rzymskokatolickiego. Drewniany kredens, na którym stanął żelazny krzyż, posłużył za ołtarz. Oprócz głównego obrazu zawieszonego obok kredensu, przedstawiającego Matkę Boską Częstochowską, na ścianach wymalowane zostały obrazy świętych. Za konfesjonał starczyły dwa taborety.



Obraz czczony przez wiernych w pierwszym, drewnianym kościele katolickim w Zelowie, a później w domu państwa Guderskich.

Wywózka Kasi

Niemal co tydzień do Biura Pośrednictwa Pracy przychodziło polecenie dostarczenia robotników do pracy w Niemczech. Czasami zapotrzebowanie było konkretne. Dotyczyło np. tylko kobiet do pracy – w roli pokojówek lub do pomocy przy dzieciach. Pracownicy biura sprawdzali wtedy listy meldunkowe i wysyłali żandarmów po odpowiednie osoby. Aresztowania odbywały się najczęściej nocą.

– Otwierać! – rozległo się walenie w drzwi mieszkania państwa Szkudlarków.

– Schowaj dzieci! – zdążył powiedzieć do żony pan Ignacy.

Do mieszkania wpadli hitlerowcy.

– Wstawać z łóżek! Pod ścianę! Hände hoch! – ryknął pierwszy, który wszedł.

Krysia i Rózia siedziały już w szafie. Jeden z żandarmów spojrzał na listę i przeczytał nazwisko.

– Szkudlarek Katarzyna – spojrzał na wystraszoną dziewczynę. – Ubieraj się! Pójdziesz z nami.

Pani Teresa objęła córkę i zaczęła płakać, ale żandarm złapał ją za rękę i pociągnął tak silnie, że przewrócił kobietę na podłogę.

– Gdzie ją zabieracie? – spytał Ignacy Volksdeutscha Masslicha.

– Nie martw się. Pojedzie na roboty – odpowiedział mu szeptem. – Nie będzie miała źle. Szukają opiekunek do dzieci.

Ciągle poganiana dziewczyna ubrała się szybko i spakowała w jedną, starą walizkę. Ze łzami w oczach pożegnała rodziców i brata. Po kilku minutach wyszła, prowadzona przez Niemców. Wśród domowników zapanowała przeraźliwa cisza. Dopiero po chwili zrozumieli, że mogą już nigdy nie zobaczyć ukochanej córki i siostry.

Następnego dnia rano do biura Arbeitsamtu przyszła młoda, szesnastoletnia dziewczyna. Podeszła niepewnie do biurka, przy którym siedział mężczyzna ubrany po cywilnemu.

– Podpisać się miałam – powiedziała cicho.
Urzędnik spojrzał na nią spod okularów.
– Imię, nazwisko, adres zamieszkania?
– Janina Topolska – podała swoje dane.


Zofia Graczyk.


Wynajęte do przewozu sanie.

– Podpisz się i siadaj – wskazał na krzesło pod ścianą.
Usiadła, ale po chwili wstała i ponownie podeszła do biurka.
– Mogę już iść do domu?
Mężczyzna uśmiechnął się.
– Nikt ci nie mówił?
– Czego?
– Jedziesz na roboty do Niemiec.
Dziewczyna zaniemówiła.
– Ale powiedzieli, że mam się tylko podpisać – miała łzy w oczach.
– No tak. I podpisałaś zgodę na wyjazd – dodał z uśmiechem urzędnik i skinął na kolegę.

– Zabierz ją do tamtych – siedzący obok człowiek przeprowadził Jankę do sąsiedniego pokoju, w którym czekało już pięć znajomych dziewczyn.
– Ciebie też dorwali? – spytała Kasia Szkudlarek.
– Miałam przyjść, żeby tylko się podpisać. Nawet swoich rzeczy nie wzięłam. W nocy do domu przyszli. Po cywilnemu byli. Siostra zdążyła schować się do szafy, a ja uprosiłam, żeby mnie nie wzięli, a właściwie to coś tam dostali od taty, chyba pieniądze.
– I co to dało? – wtrąciła się do rozmowy Zosia Graczyk.
– I tak nas wywiozą. Tatuś prosił ich i błagał. „Zostawcie mi moje ostanie dziecko, już czwórkę zabraliście...” I co? – zaczęła płakać.
– Nie rycz. Musimy się trzymać razem, to będzie dobrze – powiedziała najstarsza z nich, Kasia.
Po godzinie czekania przed budynek zajechały sanie.
– Pakować się – powiedział Niemiec. – Jedziecie na stację w Zduńskiej Woli. Później czeka was jeszcze kawał drogi.

W pierwszych miesiącach 1942 roku z Zelowa, Herbertowa i Bachorzyna Niemcy wywieźli wiele osób, najpierw do Łodzi na ulicę Łąkową, a następnie do obozów, gett i zakładów pracy na terenie III Rzeszy.

Egzekucja

Marzec – jak to marzec – przywitał wszystkich słońcem i roztopami. Później było „w kratkę” – w nocy i rano zima, w dzień trochę wiosny. Pogoda zmieniała się co godzinę. W połowie miesiąca wróciły opady śniegu, nocne przymrozki i ciężkie, szare chmury, które nie zapowiadały niczego dobrego. Jednak przyroda stopniowo budziła się do życia. Gawrony, skrzecząc głośno, zakładały wysoko w koronach drzew gniazda, a dzikie gołębie

gruchały, nawołując się wzajemnie. Sikorki i inne pomniejsze ptactwo uwijało się, nosząc piórka i trawki na nowe gniazdka. Jedno życie miało powstać, inne dobiegało końca.

W czwartek 18 marca, prezes Judenratu wszedł do mieszkania, w którym pozostali członkowie Rady z wielkim niepokojem czekali na jego powrót. Usiadł ciężko na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Obecni oczekiwali w milczeniu na to, co powie. Nie śmieli przerywać słysząc, że płacze. W końcu wstał. Otarł rękawem twarz i kamiennym, bezbarwnym głosem powiedział:

– Mamy wyznaczyć dziesięciu. Dziesięciu wydać na śmierć. Jutro ich powieszą.

– Aj! Waj! Aj Waj! – zaczął się ogólny lament.

– Chcą z nas zrobić morderców własnych braci. Jakże mamy wskazać tych ludzi.

– Może zapłacimy? Odstąpią? – spytał Berkowic.

– Nie odstąpią. Przyszedł im rozkaz z góry. Dali nam tylko możliwość wyboru. Możemy wydać kalekich, chorych i starców – tak powiedzieli.

– To też ludzie – rozległy się głosy.

– Dla mnie nie ma różnicy między chorym, a zdrowym. Wszyscy chcą żyć.

– A co, jeśli nie podamy nazwisk? – spytał Hersz Mendel.

– My zajmiemy ich miejsce – spokojnie odpowiedział Mayer. – Mamy dwa wyjścia. Jeśli w ogóle są to wyjścia z tej ciężkiej sytuacji?

– Po pierwsze, możemy ciągnąć losy – wokół rozległy się słowa i szmery – lub... – Mayer uciszył wszystkich gestem ręki. – Lub... możemy podać nazwiska tych, którzy siedzą u nich w areszcie. Oni i tak pewnie stracą życie.

Wybór był trudny. W końcu, po głosowaniu, wybrali. Okazało się, że jednomyślnie.

– Więźniów i tak wywieźliby do obozu – mówili do siebie nawzajem, chcąc wytłumaczyć swoje decyzje.

Następnego dnia rano wyznaczeni Żydzi ustawili przywiezioną z Bełchatowa szubienicę. Długa, drewniana rampa z ruchomą podłogą uruchamianą dźwignią i przebiegającą wzdłuż niej na wysokości około trzech metrów belką, stanęła mniej więcej w miejscu dawnej „białej szkoły", niedaleko skrzyżowania ulic: Kościuszki i Św. Anny.

W odpowiedzi na hasło Hitlera – „Żydzi więcej nowego Purimu nie dożyją", egzekucje Żydów odbywały się w każdym większym zbiorowisku na terenie byłego województwa łódzkiego. Niemcy postanowili potraktować je, jak widowisko, którego celem było pokazanie swojej wyższości, zemstę Hitlera za niepowodzenia na froncie wschodnim oraz odwet za podejmowane akcje zbrojne i inne wykroczenia przeciw Trzeciej Rzeszy i jej funkcjonariuszom.

19 marca z samego rana nakazano mieszkańcom gminy, żeby szli we wskazane przez nich miejsce, aby obejrzeć egzekucję. Żandarmi walili w drzwi mieszkań i wyganiali z domów ich mieszkańców, naganiali ludzi z ulicy i z zakładów pracy. Wkrótce wokół szubienicy zebrały się setki osób. Każdy miał swoje wyznaczone miejsce. Przede wszystkim oddzielnie stali Żydzi, którzy zajmowali miejsca za szubienicą, aż do ulicy Poznańskiej. Miejsca przed szafotem zarezerwowane były dla Niemców. Ignacy Szkudlarek z żoną i synem stali razem z pozostałymi Polakami, za grupą zelowskich Volksdeutschów, tuż obok domu Gliksmana. Rozglądali się z obawą dookoła. Nagle usłyszeli szmer zebranych wokół ludzi. Przeszedł ich dreszcz, kiedy spojrzeli w prawo i zobaczyli skazańców idących ścieżką na skróty, przez łąkę. Patrzyli na nich, jak szli w milczeniu jeden za drugim w towarzystwie dwóch żandarmów. Mogli ich niemal dotknąć. Wyprowadzeni z aresztu Schutzpolizei, przy Kościuszki 16 mężczyźni mieli opuszczone głowy i powiązane z tyłu ręce. Na końcu szedł wysoki, młody chłopiec, o blond włosach. Zupełnie nie przypominał Żyda.

– Jezus Maria! Przecież to Azriel, Azriel Gliksman. Właśnie idzie koło swojego domu… I Michał Łaznowski. Ten ze Szczercowa, co u Berkowiców mieszkał.

– Cicho bądź, bo nas tu zaraz zastrzelą – powiedział Ignacy do żony.

Wszyscy zebrani dookoła ludzie w milczeniu patrzyli na tych, którzy za kilka chwil mieli stracić życie.

Więźniowie zatrzymali się przed zebranymi dostojnikami – osobami odpowiedzialnymi za to, co zaraz miało się wydarzyć. Byli to Hans Berger i Ferdynand Kratochwill, jak również zaproszeni goście: komisarz Bełchatowa – Tramler i bełchatowski komendant policji – Ross oraz komendant obozu w Radogoszczu – Walter Pelzhausen. Byli to wszyscy Niemcy, którzy bezpośrednio lub pośrednio przyczynili się do zaplanowanej śmierci niewinnych ludzi.

Skazańcy weszli na podest. Ustawili się każdy pod przeznaczonym dla niego sznurem. Z tyłu podszedł żydowski policjant. Po kolei zakładał im pętle na szyje. Niektórzy poprawiali je, kręcąc głowami z powodu związanych rąk. Inni kiwali się, modląc. Jeszcze inni żegnali się z najbliższymi, patrząc w ich stronę.

Azriel odwrócił się i spojrzał na swój dom. Tu się urodził i tu dorastał. Dokładnie widział odległe o zaledwie 50 metrów podwórze i okno swojego pokoju. Łzy napłynęły mu do oczu. To już koniec. Już nie zobaczy słońca i gwiazd. Nie poczuje radości bycia ojcem. Nie zestarzeje się i nie będzie bawił wnuków. Te kilka lat tak szybko minęło …

– Eins, zwei, drei – dobiegło do niego, jak zza ściany.

Potem usłyszał już tylko straszny huk opadającej zapadni i poczuł ogromny, przeszywający ciało, ból. Większość ludzi patrzyła na ten straszny moment, ale byli też tacy, którzy zakryli twarz rękami. Stojący z boku przy szubienicy żandarm Galas, także odwrócił głowę. Dopiero po kilku minutach, kiedy ciała zamordowanych ludzi przestały drgać i bujać się na sznurach, publiczność zaczęła rozchodzić się w milczeniu do domów.



Zakład szewski. Z prawej – Azriel Gliksman.

Niemcy udali się do restauracji Markiewicza na bankiet. Przyjęcie, na ich „prośbę", zorganizowała Rada Żydowska Zelowa.

Z bólem po stracie swoich współwyznawców i z obawą o własne życie członkowie Rady zmuszeni byli do obsługiwania swoich prześladowców. Podawali im do stołu, kłaniali się nisko i uśmiechali się na siłę.

Hitlerowcy bawili się doskonale. Pełni humoru, podchmieleni i rozbawieni rozkazali przyprowadzić do siebie rabina. Niezwłocznie spełniono polecenie. Starszego, wystraszonego mężczyznę postawiono przed bulgoczącymi piwem oprawcami. Jeden z ucztujących Niemców zrzucił naczynia ze stołu i przyłożył rabinowi pistolet do głowy.

– Właź i tańcz! – rozkazał. – A wy – zwrócił się do pozostałych Żydów – wy będziecie śpiewać.

Rabin wzniósł ręce w górę i zaczął się modlić.

– O Jahwe spójrz na sługę swego!

Niemiec podszedł do kapłana i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Starszy człowiek upadł na podłogę. Stracił przytomność.

– Aj! Aj! – kilku Żydów rzuciło się z pomocą.
Unieśli mu głowę i zaczęli obmywać zakrwawioną twarz wodą. Po chwili ocknął się i spojrzał dookoła.
– Aufstehen! – ryknął Niemiec. – Tańczyć – wskazał na stół i ponownie zagroził, przystawiając pistolet do skroni poturbowanego człowieka.
Rabin z trudnością wchodził na stół, ale kiedy już wszedł wyprostował się i spojrzał dumnie wokół.
– Śpiewać – wrzasnął hitlerowiec do Żydów.
Rozpoczęli nieśmiało znaną żydowską pieśń.
– Głośniej, głośniej! Podkręć ich trochę – krzyczeli rozochoceni uczestnicy rautu.
– Hevenu Shalom Aleichem - piosenka rozbrzmiała teraz głośniej, a rabin rozpoczął tradycyjny żydowski taniec.
Wciąż ponaglany i oklaskiwany przez Niemców tańczył coraz szybciej i szybciej, aż upadł na kolana i został zepchnięty na podłogę przez mającą dosyć występu, publiczność.

Tak „bawił" Niemców w dniu wielkiego smutku i żałoby rabin zelowskiego kahału – Henoch Krygier – człowiek mądry i pobożny. Posiadający wielki szacunek i autorytet nie tylko wśród Żydów, ale także pośród tych wszystkich, którzy go znali.

21 marca 1942 roku. Niedziela.

Każda dusza zasmakuje śmierci – kiedyś tak przeczytałem. Tak. Przyjdzie czas na każdego, aby pokłonił się Panu Bogu, ale dlaczego to inny człowiek ma decydować, kiedy to się stanie?
Czuję się tak, jakbym miał z osiemdziesiąt lat. To, co widziałem, co czułem, kiedy uchodziło z nich życie zostanie we mnie na zawsze... Coś wtedy we mnie pękło... Nigdy już nie będę taki, jak przedtem.
Jak możesz, Panie Boże, dopuszczać do takich okropności?

Ucieczka z Arbeitsamtu

Zbliżało się południe. Targ w Rynku właśnie się kończył. Ostatnie wozy opuszczały centralny plac Zelowa, a Żydzi porządkowali cały teren.



Zelów, Rynek – 1942 r.
W głębi, po lewej, widoczna fabryka Lewiego.

– Cześć Michał – powiedział do młodego chłopaka stojącego przy wozie, wracający od Mileny, Franek.
– Cześć. Dawno się nie widzieliśmy.
Michał Gilski z Podwód był kolegą Franka. Razem naganiali zające wójtowi Maksymowiczowi, kiedy ten jeździł na polowania w lasy podwódzkie, gdzie ojciec Michała był sołtysem.
– Poganiamy trochę szaraki? – spytał Franek.
Uśmiechając się podał rękę na przywitanie.

– Dawne czasy – Michał także się uśmiechnął. – Szkoda, że minęły. Teraz to zające na drut się łapie, bo strzelać nie wolno – dodał. – Przyjdź zimą na kuropatwy. Tylko, jak śnieg będzie odpowiedni. Porobimy dziur, nasypiemy ziarna... Poprzedniej zimy to na raz dwanaście mi się złapało.

– Aż tyle? – zdziwił się Franek.

– Jak wsadzi dziuba do dziury, żeby sięgnąć ziarno, to już nie wyjdzie. Tylko nóżki w powietrzu majdają – opowiadał rozradowany. – Na stryszku to... – przerwał, bo wokół zrobił się zamęt i ogólny popłoch.

– Jasna Cholera! – przeklął Franek. – Znowu. Ale mam pecha.

Tym razem nie było sensu uciekać. Podczas rozmowy nie zauważyli, że żołnierze otoczyli plac ze wszystkich stron – po cichu, bez samochodów i bez krzyków. Chłopcy stali i czekali, patrząc, jak Niemcy zaciskają pierścień wokół kilkunastu ludzi. Po chwili podeszło do nich dwóch żołnierzy i ubrany po cywilnemu Dalke.

– Na wóz! – rozkazał Volksdeutsch. – Ty powozisz – wskazał Michała.

Posłusznie wykonali polecenie.

Tymczasem hitlerowcy wprowadzili zatrzymane osoby na wóz Gilskiego i na dwa sąsiednie. Po chwili furmanki ruszyły ulicą Kilińskiego w kierunku Arbeitsamtu. Aresztanci szeptali coś do siebie, ale idący obok uzbrojeni żołnierze, co jakiś czas ich uciszali. Tuż przed dotarciem do celu, jadący w pierwszym wozie młody mężczyzna zerwał się i zeskoczył. Zaczął uciekać.

– Halt! – krzyknął za nim żołnierz, kierując karabin w stronę uciekiniera.

Wystrzelił, jednak nie trafił. Uciekinier dopadł do płotu okalającego drewnianą, wiekową chałupę. Chwycił oburącz za płot. Próbował wspiąć się, aby przedostać się na drugą stronę. Padł drugi strzał. Mężczyzna zastygł w bezruchu. Po chwili bezwładnie upadł na ziemię. Zabrakło kilku sekund. Kilku cennych dla

życia sekund. Pozostali na wozach ludzie patrzyli przerażeni na to, co się stało.

– To Trzmiel z Zelówka – powiedziała jakaś kobieta.

– Niech mu ziemia lekką będzie – dodał siedzący obok mężczyzna.

– Nie gadać! – ryknął Dalke, który wcześniej dotarł na miejsce i stał teraz obok budynku Biura Pracy. – Ty! – wskazał znów na Michała. – Wjeżdżaj na podwórko. Pozostali niech czekają na ulicy – dodał do podchodzącego żołnierza. – Wysiadać i szykować papiery.

Ludzie posłusznie zeszli z wozu i wyciągali przepustki i inne dokumenty.

– Do środka! – padła komenda.

Franek i Michał podali swoje dokumenty zbierającemu je przy wejściu do budynku, Niemcowi. W korytarzu stała jakaś urzędniczka. Kazała im czekać i wchodzić kolejno na wezwanie, po czym weszła z pierwszym aresztantem do pokoju.

– Ja im będę czekał – powiedział szeptem Michał. Niech głupszego od siebie poszukają. – Chodź – pociągnął Franka za rękę.

Chłopcy przesuwali się powoli, pomiędzy ludźmi, w głąb korytarza. Wykorzystali odpowiedni moment i w zamieszaniu wyszli drugim wyjściem na ulicę. Poszli w kierunku „patrolki[81]".

– Tylko, że wóz i dokumenty zostały – powiedział Franek, kiedy odeszli na znaczną odległość.

– Lepiej, że one, niż my – dodał Michał i klepnął Franka w ramię.

– A konia z wozem to ojciec jakoś wydostanie – dodał.

Franek wrócił do domu dopiero wieczorem.

– Jezus Maria! Gdzieś ty był? – matka podeszła i przytuliła go. – Tak się bałam. Podobno dzisiaj łapali w Rynku.

[81] *Patrolka – drewniana wieża obserwacyjna.*

– Nie możesz mówić, wychodząc, że późno wrócisz do domu? – dodał z wyrzutem ojciec.

Chłopak spojrzał na rodziców.

– Przepraszam. Nie planowałem, że mnie aresztują.

– Matko Boska! Aresztowali cię? Gdzie? Kiedy? W Rynku? – matka załamała ręce.

– Siadaj i opowiedz, jak było – ojciec wskazał na krzesło.

Franek w kilku słowach streścił wydarzenia dnia.

– Aleś my ich wykołowali, co? – zakończył opowieść.

– I co teraz? – spytała pani Teresa męża. – Zabrali mu dokumenty.

– Miałem tylko „palcówke"[82] – wtrącił chłopak.

– Może coś się da zrobić – odpowiedział pan Ignacy. – Wiem, z kim pogadać. Ludzie już to robili. Może sąsiadka Górecka[83] pomoże, przecież tam pracuje. Takie wyciągniecie dokumentów gęś dla urzędnika kosztuje – pocieszył żonę.



Pracownica zelowskiego Arbeitsamtu.

---

[82] *„palcówka" – polska nazwa niemieckiego dowodu osobistego.*
[83] *Górecka – nazwisko zmienione.*

– No, ale ty kawalerze jeszcze dzisiaj na noc ruszysz do Bujen. Tam przeczekasz z tydzień, aż papiery odbiorę i wszystko ucichnie. A jak ciągle będziesz się plątać po Rynku, to w końcu się doigrasz.

Aresztowanie Szkudlarka

Minęło kilka dni. Szkudlarek załatwił sprawę tak, jak obiecał. Dokumenty Franka i Michała kosztowały gęś i dwie kury. Wóz i konia znajomy Niemiec po prostu wyprowadził z podwórka. Nie pozostało to jednak bez echa. Pracownik Arbeitsamtu, Volksdeutsch z Kociszewa, chcąc przypodobać się zwierzchnikom, złożył donos. Rozpoczęły się kontrole i aresztowania w niemieckich urzędach.

Tego dnia pani Teresy nie było w domu. Poszła razem z dziećmi do Bujen. Wzięła dokumenty syna i bańki na mleko. Od śmierci swojego ojca częściej zaglądała do rodziny na wieś, aby trochę pobyć z mamą i pomóc w gospodarstwie. Ignacy Szkudlarek był sam w mieszkaniu. Naprawiał piec kaflowy, kiedy na podwórze weszło kilku żandarmów. Wśród nich wachmistrz policji, Oskar Kube, któremu wszyscy schodzili z drogi. Wszedł pierwszy do mieszkania. Stanął w szerokim rozkroku w czarnych, oficerskich butach, granatowym mundurze ze swastyką na lewym rękawie i pistoletem w kaburze przypiętej do szerokiego, skórzanego pasa. Co jakiś czas uderzał bykowcem po udzie i milczał. Po dłuższej chwili kiwnął energicznie głową, dając znak żandarmom, aby rozpoczęli rewizję. Szkudlarek stał pod ścianą i w milczeniu przyglądał się, co robią. Niemcy przeszukiwali szafy, szuflady i kufry. Niszczyli i rozbijali naczynia, rozdzierali pierzyny i poduszki, wyrzucali na dwór meble. Kiedy znaleźli zegarek i pieniądze, położyli je na stole. Kube schował je szybko do kieszeni i powiedział krótko do żandarmów:

– Zabrać go – wyprowadzili Szkudlarka na podwórko.

Teraz Niemcy weszli do sąsiednich, pustych mieszkań. Po kilku minutach jeden z żandarmów wyniósł i podał przełożonemu pistolet.

– O! Co my tu mamy? No, no. Czyje to?

– Mieszkania są opuszczone – odpowiedział żandarm.

Kube zwrócił się do Szkudlarka.

– Kto tam mieszkał?

– Tam? Golczykowie.

– Gdzie teraz są? – pytał dalej?

– Nie wiem. Dawno się wyprowadzili.

– Zooobaczymy – powiedział przeciągle Niemiec.

– Wracamy – dodał i kiwnął na podwładnych, żeby zabrali więźnia i szli przodem.

Po południu Szkudlarkowa z Frankiem, Krysią i Rózią wrócili ze wsi. To, co zastali w domu było straszne. Płacz i lament był wielki. Wejmanowie uspokajali ich, jak tylko mogli.

– Jakoś się to wyjaśni, Tereniu – mówiła Wejmanowa, tuląc głowę płaczącej przyjaciółki. – Pamiętasz początek wojny? Też było trudno, a wszystko dobrze się skończyło.

– Tak, Tereska. Dobrze będzie. Trzeba w to wierzyć – dodał Adam. – Byłem tam u nich zaraz, jak tylko go aresztowali. Chciałem się czegoś dowiedzieć. Co do Ignacego, to nic mi nie chcieli powiedzieć, a tu, to łaźnię będą sobie robić. Szwabiska biorą, co chcą i kiedy chcą. Udało mi się jedynie wyprosić, żebyście mogli zostać w tych mieszkaniach na górze, bo chcą kogoś do sprzątania i palenia w piecach. Powiedziałem, że ty i Franek się nadajecie. No, i... Tereniu... nie wiem, jak ci to jeszcze... widziałem też u nich Golczyka i twojego szwagra.

Pani Teresa usiadła ciężko na krześle.

– Najpierw Kaśka, teraz Ignacy... – zakryła twarz i rozpłakała się.

Wywózka Baczmagów

Zbliżało się lato 1942 roku. Rankiem w Zielone Świątki słońce przygrzewało wesoło, zapowiadając ciepły, pogodny dzień. Na wsi życie budziło się ze snu. Domowe ptactwo wychodziło z kurników. W oborach muczały niewydojone jeszcze krowy. Z pobliskiego lasu dochodziło kukanie kukułki, a pod dachem domu Baczmagów z wrodzoną energią wiły gniazdka jaskółki. Łąka nad rzeką, tuż za domem Baczmagów, pokryta soczystą trawą i różnobarwnym kwieciem, spowita była lekką mgiełką. Gospodarze spali jeszcze, kiedy uwiązany przy budzie Burek zaczął złowrogo ujadać. Po chwili na podwórko wjechał ciężarowy samochód z niemieckim wojskiem i żandarmami. Żołnierze rozbiegli się po obejściu. Wbiegli do mieszkania.

– Wstawać! Ubierać się! Schnell! Schnell!

Pan Bolesław został wypchnięty na podwórko w samej bieliźnie. Jego żona uspokajała i ubierała płaczące dzieci. Przed domem czekał już wynajęty przez Niemców wóz konny. Nieco dalej, na drodze, czekały inne podwody[84].

– Włazić na wóz – rozkazał żandarm Hanke.

Baczmaga spojrzał na niego.

– Gdzie nas zabieracie?

– Nie twoja sprawa – odpowiedział opryskliwie Niemiec. – Macie pięć minut.

Pani Stanisława wyszła na dwór. Najmłodszy syn, Józio, trzymał się kurczowo jej spódnicy i głośno krzyczał. Baczmaga spojrzał na rodzinę, potem ponownie na Niemca.

– Nigdzie nie jedziemy.

Hanke wściekł się.

---

[84] *Podwody – wóz z zaprzęgiem dostarczany do dyspozycji organu administracji państwowej lub wojska.*

– Ty polska świnio! – zamierzył się karabinem i uderzył go kolbą prosto w nos.

Mężczyzna chwycił się za twarz i upadł na kolana. Pomiędzy palcami płynęła mu krew. Córki podbiegły do ojca.

– Tatusiu! – próbowały go podnieść, ale Niemiec odepchnął je na bok.

– Wsiadaj, bo cię zastrzelę – skierował broń w stronę klęczącego mężczyzny.

Bolesław wstał powoli i opuścił ręce. Stał tak z rozbitym nosem, w zakrwawionej koszuli i patrzył odważnie na swojego prześladowcę. Po chwili wyciągnął ręce w kierunku dzieci i pomógł im wsiąść na wóz. Po nich wsiadła pani Stanisława i mały Józio. W domu pozostała tylko babcia Petronela. Stała w oknie i płacząc, żegnała swoich najbliższych przekonana, że nigdy już ich nie zobaczy.

Woźnica strzelił batem i ruszyli przez Bujny Księże w kierunku Zelowa. Dojechali do pierwszej kapliczki na rozdrożu, tuż przed mostkiem. Jadący na motocyklu Niemcy, widząc, że więźniowie czynią znak krzyża i proszą o pomoc i wstawiennictwo Najświętszą Panienkę, zatrzymali się. Jeden z hitlerowców podszedł do miejsca ludowego kultu i karabinem rozbił szybkę i figurkę Matki Boskiej. Ludzie, płacząc i lamentując, przyglądali się zdarzeniu. Żegnali wywożonych sąsiadów naznaczając w ich kierunku znak krzyża, dając błogosławieństwo na drogę. Z jednego z domów wyszedł znajomy rodziny. Niósł przed sobą, na wyciągniętych rękach, bochen świeżego, pachnącego chleba. Podszedł odważnie do wozu i zerkając co chwilę na Niemców, podał go Baczmagom. Oprawcy nie protestowali.

– Dziękuję ci, Władek – powiedział drżącym głosem Bolesław.

– Dziękujemy, panie Piech – powtórzyły dziewczynki.

W Zelowie zatrzymali się przy nowej, murowanej synagodze.

– Ile tu ludzi, rety! – pani Stanisława chwyciła się za głowę.

– Wysiadać – padła komenda.

Wprowadzili ich do środka. Wewnątrz panowała nieopisana ciasnota. Ludzie stali obok siebie ramię w ramię. Dzieci i kobiety płakały. Mężczyźni próbowali się porozumieć, co mogą zrobić, żeby wydostać się stamtąd. Po chwili Niemcy ogłosili, że zdolni do pracy pojadą do Rzeszy, aby wspierać ich dzielny naród przy pracy w fabrykach, w domach i w gospodarstwach. Rozpoczęli selekcję. Kiedy żandarmi odciągali od matek małe, niezdolne jeszcze do pracy dzieci, rozległ się jeszcze większy lament. Wtórował mu płacz kobiet i protesty ojców. Ci, co ze strachem czekali swojej kolejki, tulili się do siebie, modląc się po cichu. W pewnej chwili do Baczmagów podszedł fryzjer Drajling. Wskazał na nich palcem i szepnął coś do ucha stojącemu obok żandarmowi. Wartownik wskazał na wyjście z budynku.

– Wychodzić. Jesteście wolni.

Baczmagowie nie namyślali się długo i pośpiesznie opuścili budynek. Dopiero po odejściu na znaczną odległość, uwierzyli w swoje szczęście.

– Tato – Marysia pociągnęła ojca za rękaw. – To był pan Drajling. Wujek Józek u niego pracuje.

– Tak, dziecko. Tak. Jak widzicie nie ważne czy to Niemiec, czy Polak. Wszystko od człowieka zależy.

Wracali do Bujen. Do ich ukochanego domu. Pełni radości i wdzięczności dla Niemca, wujka Józka, ale przede wszystkim dziękowali bożej opatrzności. Niebo zachmurzyło się i zbierało się na burzę, a po chwili zaczęło padać. Stanęli więc w bramie kamienicy, aby przeczekać niegroźny, majowy deszcz.

– Chodźmy dalej, mamo? – poprosiła Krysia.

– Troszkę poczekamy, bo byśmy przemokli do suchej nitki.

– Ale, mamo. Mówiłaś kiedyś, że na takim majowym deszczu się rośnie, a ja chcę urosnąć – zapewniła dziewczynka.

Rodzice uśmiechnęli się.

– Urośniesz. Na pewno urośniesz. Będziesz żyła długo i szczęśliwie.

Wkrótce rozpogodziło się i można już było wracać do domu – opuszczając swoje schronienie, Baczmagowie zobaczyli jadące od strony katolickiego kościoła ciężarowe samochody wypełnione ludźmi. Kiedy przyjrzeli się bliżej, okazało się, że pojazdy pełne są Żydów. Samochody zatrzymały się w Rynku, w pobliżu pompy paliwowej. Wokół natychmiast pojawili się mieszkańcy osady i zaczęli wyciągać z kieszeni kawałki pieczywa. Deszcz chleba poleciał w kierunku wygłodzonych ludzi. Więźniowie wyciągali ręce. Łapali, ile kto mógł. Chowali za pazuchy i do kieszeni, trzymali w zębach i przyciskali do piersi.

– Boże, jaka straszna jest ta wojna – powiedziała Baczmagowa. – Jaki los ich czeka?

Bolesław pokiwał głową i dodał:

– Chyba jednak nie ma zbyt wielu dobrych ludzi wśród tych Niemców.

Aresztowanie Berkowiców

Plany Hitlera dotyczące ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej realizowane były przez niemiecki aparat państwowy z całą stanowczością i dokładnością. Prowadzone były etapami już od wielu lat, ale zmierzały w jednym kierunku – likwidacji całego żydowskiego narodu. W Zelowie, jak i w całej podbitej przez hitlerowców Europie, trwały aresztowania i wywózki Żydów do obozów śmierci. Zelowskich Żydów Niemcy wywozili najczęściej do działającego od 7 grudnia 1941 obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Setki tysięcy ludzi mordowali, a ich ciała palili. Ginęli wszyscy bez względu na płeć i wiek. Ograbionym, odartym z godności i nadziei ludziom, niemieccy oprawcy odbierali najcenniejszy dar – życie.

– Tate! Tate! – Dawid wbiegł do mieszkania. – Wszystkich wywożą! Wszystkich! – krzyczał.

– To już chyba koniec – powiedział Salomon do dzieci.

Stali pośrodku malutkiej izby, nasłuchując z przerażeniem dobiegających ze wszystkich stron krzyków, płaczu kobiet, dzieci i mężczyzn. Co jakiś czas słychać było strzały i gardłowe, wrzaski hitlerowskich bandytów. Ojciec objął rodzinę i zaczął się modlić. Nagle przerwał.

– Uciekajcie. Należy chociaż spróbować.

– A ty, tate?

– Ja z wami. Tylko musimy się rozdzielić.

– Dokąd mamy uciekać? – spytał Dawid. – Wszędzie Niemcy.

Nastała chwila ciszy.

– Ty Dawid biegnij na dach, a potem… potem zobaczysz. My spróbujemy dostać się na podwórze i do komórek – ucałował dzieci. – Nie płacz, Miriam. Uda nam się.

Wyjrzeli ostrożnie z mieszkania. Na korytarzu było pusto. Dawid spojrzał na ojca i siostry. Wahał się.

– Może nie powinien zostawiać ich samych?

– No, biegnij! – ojciec popchnął go na schody prowadzące na górę.

Chłopak ruszył, przeskakując po kilka stopni. Ze strychu wydostał się na dach. Położył się i ostrożnie spojrzał w dół. Ulica Kilińskiego wypełniona była niemieckim wojskiem. Policjanci i Volksdeutsche prowadzili grupy ludzi. Wsadzali ich do ciężarówek. Zewsząd dobiegał płacz i lament. Esesmani odbierali matkom dzieci. Mężczyzn bili pałkami po plecach i nogach. Samochody odjeżdżały i przyjeżdżały. Nie nadążały odbierać więźniów. Tych kierowali do fabryki Lewiego. Grupa za grupą szli, zachowując się jakby ciszej. Jakby zadowoleni byli, że zostają. Dawid drgnął. Dostrzegł ojca i siostry prowadzone przez dwóch uzbrojonych w pistolety Volksdeutschów. Znał ich doskonale. Mieszkańcy Zelowa – Neuman i Bednarski[85]. W pierwszej chwili

---

[85] *Bednarski – nazwisko zmienione.*

chciał biec na pomoc, ale opuścił głowę i patrzył, jak prowadzili jego rodzinę do fabryki. Przeszło mu przez myśl, że gdyby nie stracił pieniędzy, to może mógłby ich wykupić. A teraz, wszystko stracone... Nagle usłyszał hałas dobiegający od włazu, którym wszedł na dach. Zerwał się i zaczął uciekać. Stanął po drugiej stronie niezbyt spadzistego dachu. Rozejrzał się. Dookoła widać było Niemców i wyprowadzanych przez nich niemal z każdego domu, Żydów. Obejrzał się. Ktoś wchodził na dach. Złapał się rynny i zaczął ostrożnie schodzić w stronę podwórka. Kiedy był już blisko ziemi rura odpadła od ściany i runął razem z nią na ziemię. Wpadł do jakiegoś ogródka i na chwilę stracił przytomność. Kiedy ocknął się zobaczył pochyloną nad nim, pomarszczoną twarz starszej kobiety.

– Niemka – przeszło mu przez głowę.

Starał się podnieść, ale odczuwał skutki upadku. Kobieta pomogła mu wstać.

– Chodź. Nie obawiaj się – powiedziała i zaprowadziła go do swojego mieszkania. – Właź do szafy i siedź cicho.

Zdążył w ostatniej chwili. Do pokoju wbiegli Niemcy. Gospodyni zamieniła z nimi kilka zdań po niemiecku i chyba ich przekonała, że nie mają tam czego szukać, bo po chwili wyszli. Podeszła do szafy i przez zamknięte drzwi powiedziała:

– Siedź tam i nie wychodź. Rano pomyślimy, co dalej.

Fabryka Lewiego

– Boga nie ma! Boga nie ma! – ciche z początku słowa powtarzane w koło przez młodego Żyda klęczącego w rogu przepełnionej ludźmi fabrycznej hali przerodziły się wkrótce w przeraźliwe krzyki załamanego człowieka.

– Bluźnisz! – krzyknął na niego stary Żyd, stojący obok.

Ale on nie zwracał na niego uwagi. Zaczął rwać ubranie na sobie i krzyczał jeszcze głośniej. Wpadł w szał. Kilku współwięźniów rzuciło się na niego. Próbowali uspokoić tarzającego się po posadzce człowieka. Stare Żydówki przyglądały się ze łzami w oczach strasznemu przedstawieniu. Mężczyźni modlili się, kiwając rytmicznie. Dzieci płakały. Więźniowie, którzy mieli szczęście stać przy oknach i oddychać świeżym powietrzem, wyciągali ręce przez okienne kraty i wzywali pomocy. Pomocy, o której wiedzieli, że nie nadejdzie.

Salomon został zamknięty w oddzielnym pomieszczeniu razem z innymi mężczyznami. Domyślał się, że Sara i Miriam są zamknięte gdzieś obok. Myślał o Dawidzie – „Czy zdołał się ukryć?". W pewnej chwili znajomy Żyd, który siedział oparty o ścianę odezwał się jakby do siebie, ale tak, żeby inni słyszeli.

– Jaki jest sens tak się męczyć, kiedy za dzień lub dwa, co ja mówię? – za godzinę, może nas już nie być? Niech to się już raz skończy. Spotkam się wtedy z moją Chaną... i Herszlik przybiegnie i Noemi. Pójdziemy razem do parku i nazbieramy kolorowych, jesiennych liści. Dzieci będą biegać i bawić się pośród tych liści, a Chana będzie się śmiała. Lubię, kiedy się śmieje – uśmiechnął się do siebie.

Jednak po chwili twarz mu stężała i nabrała groźnego wyglądu. Spojrzał na Salomona.

– Wszystko mi zabrali... Wszystko we mnie umarło... To, po co mam żyć? Dla kogo?

Salomon nie spał w nocy. Prawie nikt nie spał. Nagle usłyszał dobiegający zza ściany znajomy, kochany głos. To jego Sara, jego córeczka śpiewała smutną piosenkę.

„W pokoju gwar i krzyk. Przy stole mężczyzn rój, lecz mnie nie kocha nikt. Ach! Gdzie najdroższy mój? Ach! Jak smutno jest dziewczynie, gdy jej życie bez miłości minie..."

Cały teren wokół fabryki otoczony był wysokim, drewnianym płotem i drutem kolczastym. Przy furtkach i przy bramie stali żandarmi. Wejście na teren więzienia odbywało się tylko za okazaniem odpowiedniej przepustki. Jednak czasem można było znaleźć inny sposób.

– Słyszałaś, Stefciu, co wczoraj u Lewiego wyprawiali? Aż tutaj było słychać te straszne krzyki – powiedziała do Ulańskiej Janina Smolna, sąsiadka z naprzeciwka.

Pani Stefania złapała się za głowę.

– Nie mogłam tego słuchać. Zakryłam uszy i modliłam się.

Janka mówiła dalej.

– Wszystkich ich wywiozą. Najgorzej, że nie ma już nadziei.

– Zawsze trzeba mieć nadzieję – odpowiedziała Ulańska.

– Może masz rację – zastanowiła się chwilę – nadzieja, choćby niewielka, ale trzyma nas przy życiu kiedy wszystko wokół zawodzi. Bez niej, bez wiary w spełnienie naszych pragnień, człowiek traci sens życia... Ale przedtem, to chociaż mogli tam pracować i jeść im dawali, a teraz to nawet wody do picia nie dostają. To bestie, nie ludzie. Gdybym tylko mogła, to zaraz bym im coś do jedzenia zaniosła, ale nie puszczą. Chociaż?... Jest tam jeden taki znajomy policjant, nazywa się Galas. Kiedyś to był dobry człowiek. Może nas puści? Warto spróbować. Może uda się podać jedzenie, chociaż dla kilku osób.

– Pójdę z wami, mamo – powiedziała siedmioletnia córka Smolnych, Terenia.

Po kilku minutach podeszły pod bramę wejściową fabryki.

– Stać! Nie wolno. Gdzie się panie wybrały? – żandarm zastąpił im drogę.

– Panie Galas, z pana jest dobry człowiek. Nie słyszy pan tych ludzi? Proszą tylko o kawałek chleba. Tam są matki i dzieci. Ma pan przecież dzieci. Przecież broni im nie niesiemy. Niech pan sam zobaczy.

– Nie wolno mi. Nie mogę was wpuścić. Choćbym chciał – odpowiedział spokojnie mężczyzna.

Smolna zawahała się chwilę, szukając sposobu na przekonanie wartownika.

– A moją Tereskę pan puści?

Niemiec spojrzał na skromną, szczupłą dziewczynkę. Rozejrzał się wkoło. Zastanawiał się. W końcu ustąpił.

– Niech poda, co ma podać i zaraz niech wraca.

Pochylił się nad dzieckiem i stanowczym głosem powiedział:

– Biegnij dziecko i szybko wracaj. Rozumiesz?

Tereska skinęła głową.

– Niczego od nich nie bierz! – krzyknął jeszcze za biegnącą już dziewczynką.

Po chwili Tereska była na miejscu. Zobaczyła dziesiątki twarzy „przyklejonych" do krat, a pomiędzy kratami setki wyciągniętych rąk.

– Tutaj! Tutaj! – wołali jedni, przez drugich.

Z pierwszego i z drugiego piętra poleciały w dół liny zrobione z pończoch. Dziewczynka przywiązała torbę z jedzeniem do jednej z nich. Przesyłka ruszyła szybko w górę, ale nie dotarła do adresata. Już na parterze została przejęta przez wygłodzonych ludzi.

Dawid siedział na strychu od dwóch dni. Każdy szmer, każde puknięcie, czy dobiegająca z oddali ludzka mowa powodowały, że odczuwał strach przed aresztowaniem. Chował się wtedy szybko do wąskiej, ciasnej kryjówki, jaką urządził sobie, odrywając kilka desek w podłodze. Po wygrzebaniu ocieplenia z trocin kładł się z drugiej strony sufitu mieszkania znajdującego się pod nim i nasuwał deski podłogi na siebie. Czuł się jak w trumnie i niewiele bezpieczniej, ale to jedyne, co mógł zrobić. Dwa razy dziennie starsza pani przynosiła mu trochę jedzenia i wodę do picia. Od czasu do czasu obserwował przez małe okienko pod dachem to, co działo się na ulicy. Przypominały mu się czasy, kiedy zaraz po przyjeździe do Zelowa robił tak ze swojego strychu, ale wtedy patrzył na zupełnie inny świat. Kolorowy i pachnący. Świat dziecięcy i beztroski.

Trzeciego dnia, wczesnym rankiem obudził go warkot silników. Wyjrzał przez swój lufcik. Na ulicy znów pojawiły się samochody. Okryte brezentem naczepy nie wróżyły niczego dobrego. Wkrótce pojawili się żołnierze i zablokowali motorami ulicę. Żandarmi prowadzili pierwszych więźniów. Obdarci, brudni i wycieńczeni ludzie szli w milczeniu, pomagając sobie nawzajem. Dawid dostrzegł Sarę, która szła, trzymając siostrę za rękę. Próbował nie płakać, ale łzy same cisnęły mu się do oczu. Dławiły oddech. W następnej grupie szedł jego ojciec. Jako jeden z pierwszych wszedł na kipę.

– Zamykać klapę! – krzyknął żandarm do kierowcy – już pełno.

Niemiec wyszedł z szoferki i spojrzał na tył samochodu.

– Jakie pełno? Te parchy porozsiadały się, jakby na wakacje jechały – uśmiechnął się do policjanta.

Wrócił do auta. Dodał gazu i ostro ruszył z miejsca. Po kilku metrach raptownie zahamował i powoli cofnął.

– No, ładujcie – powiedział zadowolony z siebie.

Hitlerowiec upchnął jeszcze kilka osób. Po czym zatrzasnął i zamknął klapę. W tej samej chwili, w całym tym hałasie i zamieszaniu, rozległ się przeraźliwy krzyk i płacz dziecka, a zaraz potem, krzyki kobiet.

– Mordercy! Bandyci!

Spod zamkniętej tylnej burty auta wystawała zakrwawiona, wisząca tylko na kawałku skóry stópka niemowlęcia. Krew spływała na ulicę.

Dawid patrzył na te bestialskie poczynania z narastającym, niewyobrażalnym gniewem. Chciał biec na dół i zabić wszystkich. Jednak nie mógł nic zrobić. Zagryzł wargi do krwi. Był bezsilny. Mógł tylko zostać i przyglądać się lub iść i zginąć. Wkrótce wszystko ucichło, ale w głowie i sercu Dawida panował chaos. Ciągle miał przed oczami minione wydarzenia. „Co się stanie z jego rodziną? Czy przeżyją?" – myślał.

Nie mógł pogodzić się z tym, co się stało. Postanowił, że nie może dłużej zostać w Zelowie. Kiedy pani Kelm przyniosła mu jedzenie, poprosił o zeszyt i ołówek. Dostał je wieczorem razem z kolacją. Wyszedł w nocy, zostawiając na kartce tylko jedno słowo: „Dziękuję". Przeszedł niezauważony na drugą stronę ulicy. Wszedł szeroko otwartą, przez nikogo niepilnowaną bramą, na wyludniony teren fabryki. Na placu, po lewej stronie leżała sterta metalowych przedmiotów: łóżka, miski, garnki i nocniki. Cały, zagrabiony przez Niemców, żydowski dobytek. Szedł dalej. Minął pozbawiony szyb budynek, który jeszcze kilkanaście godzin temu był więzieniem dla setek jego pobratymców. Następnie, w poprzek przez ulicę Wschodnią i przez niewielką rzeczkę dotarł do ulicy Dzielnej. Szedł w kierunku Bujen i starej, ukrytej w lesie ziemianki.

Ziemianka

Noce były już chłodne, ale w ciągu dnia słońce mile przygrzewało. Las pełen był grzybów i jeżyn, a rośliny i zwierzęta nie myślały jeszcze o jesieni.

Dawid obudził się o świcie i poczuł głód. Zastanawiał się nad swoją sytuacją – „Wodę do picia ma w rzece, ale na samych, surowych grzybach nie da się żyć". Postanowił iść po pomoc do Baczmagów, których dom stał w niewielkiej odległości. Znali go przecież. Tyle razy był tu z Frankiem. To dobrzy ludzie. Na pewno mu pomogą.

– Panie Bolku!... Panie Bolku!... – zapukał w okno wychodzące na łąkę przy rzece.

– Święci Pańscy! – powiedział Bolesław Baczmaga, widząc znajomą twarz. – Bogu niech będą dzięki. Żyjesz – dodał i szeroko otworzył okno.

– Panie Baczmaga. Ja tylko na chwilę. Nie chcę was narażać, zaraz sobie pójdę, ale czy mógłbym dostać kromkę chleba?

Gospodarz podał mu jedzenie.

– Jakżeś ty się uratował? Słyszeliśmy, że wszystkich was wywieźli.



Dom Baczmagów od strony rzeczki Pilsi w Bujnach Księżych

Dawid opowiedział w skrócie, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Baczmaga słuchał i co chwilę wygrażał pięścią w powietrze.

– Niech jasny piorun tych Hitlerowców!

Pani Stanisława, która przyszła do kuchni zobaczyć, co się dzieje, płakała.

– Słuchaj, Dawid – Baczmaga rozejrzał się dookoła. – W domu nie możemy cię schować, bo ciągle tu do nas różni przychodzą. Może w stodole, na kilka dni?

– Dziękuję panu, ale najlepiej, jak zostanę w naszej ziemiance. Pamięta pan, jak ją budowaliśmy? Będzie mi tam wygodnie. Tylko gdybym mógł dostać trochę jedzenia.

– Dostaniesz, dostaniesz. I koc dostaniesz. Baczmaga jeszcze nikomu w potrzebie nie odmówił.
Zresztą nie ty jeden pod to okno przychodzisz. Jak będzie uchylone, to możesz sobie wchodzić i brać, co na kuchni będzie przygotowane. Tak będzie dla nas i dla ciebie bezpieczniej. W razie czego to powiemy, że podkradałeś jedzenie bez naszej wiedzy, a i ty nie będziesz tak pod oknem wystawał.

– Tak. Ma pan rację. Już lecę. Dziękuję.

– Przyjdź, jak się ściemni – dodał do oddalającego się chłopaka.

Chyba poniedziałek, 21 września 1942, ale straciłem rachubę.

Jestem sam. Sam na tym świecie... I nie mam siły... I nie mam odwagi tego skończyć. Jakaś wewnętrzna siła mówi mi – żyj!
To, o czym myślisz jest grzechem. Tylu ludzi chciałoby żyć, a ty chciałbyś sam siebie... To wolno tylko Bogu.

Znowu śniła mi się moja Mamele. Szła po łące pełnej kwiatów, trzymając Miriam za rękę. Uśmiechała się do niej, a ona podskakiwała radośnie i też się śmiała. Moja mała Siostrzyczka... Mój kwiatuszek...

A później rozlega się huk jakiś i krzyki i nawoływania. Mame ciągnie Miriam do lasu. Biegną, przewracają się... i obudziłem się zlany potem. Chyba miałem gorączkę, a może to tylko przez ten sen? Może przez wspomnienia, bo widziałem straszne rzeczy. Widziałem pola Armagedonu – stałem po środku... Słyszałem dźwięk przeraźliwy – ostatni karabinu wystrzał... i nic nie mogłem zrobić... i ciałem i duszą niewładny... wzrok tylko... słuch tylko... rozum odbierało... Cóż oni uczynili, czem zawinili... czem moja mała siostrzyczka... mój wonny kwiatuszek, szczebiotek poranny... już ich nie zobaczę... łka moje serce... łka moja dusza.

Czy to ważne, który jest dzisiaj?

Siedzę już tu ponad dwa miesiące. Codziennie to samo. Budzę się o świcie i idę po jedzenie do Baczmagów. Gdyby nie oni, gdyby nie ci dobrzy ludzie, to już by mnie nie było. Później rozmyślam. Wspominam dawne, dobre czasy. Jak uczyłem Miriam grać w karty i w domino. Jak bawiliśmy się w chowanego.

Myślę o Mame, o Tate. Każde ze świąt rozpatruję od nowa. Przypominam sobie, jak rozdawaliśmy z Sarą macę i bajgiele w święto Purim i jak wystawialiśmy w oknie chanukiję podczas Chanuki, a szczególnie lubię wspominać Pesach – najważniejsze i najpiękniejsze z naszych świąt.

Czasem piszę, jak teraz, ale zostały mi tylko dwie kartki. Muszę oszczędzać. Wokół cisza, spokój. Tylko od strony wsi dobiegają niekiedy do mnie jakieś krzyki i ujadanie psów, ale słychać też dzieci, które biegają i bawią się w chowanego.

Te straszne myśli już minęły. Czas wszystko leczy, goi rany. Może nie do końca, ale czuję się lepiej. Jestem taki, jakiś spokojny. Ciągle jednak szukam tej ukrytej głęboko we mnie dawnej miłości do życia. Wiara i nadzieja. Tak, muszę wierzyć. Zaczynam wierzyć, że będzie lepiej. Bez wiary w Boga, w ludzi, w siebie – życie byłoby pozbawione sensu. Tak myślę. Tak czuję.

Dawid przyzwyczaił się do nowych warunków i niemal polubił swoje nowe mieszkanie, a zwłaszcza ciszę i spokój, które panowały dookoła. Po tak długim okresie strachu, bólu i panującej wokół przemocy, mógł w końcu poczuć się bezpieczny i niemal wolny. Mógłby zostać tu na zawsze. Pogoda mu sprzyjała i miał co jeść, a jesień nadeszła późno i była wyjątkowo ciepła.

Mijały dni i tygodnie. Niestety natura ma swoje prawa i z początkiem grudnia zrobiło się nagle bardzo zimno. Spadł śnieg, a nocą mróz bywał tak silny, że woda na rzece zaczęła zamarzać. Musiał postanowić, co dalej.

Spotkanie

– Dawno cię nie było – powiedziała Stanisława Baczmaga do wchodzącego do izby Franka.

– Witaj ciociu – uśmiechnął się serdecznie.

Dziewczynki podbiegły z piskiem i zaczęły wieszać się kuzynowi na szyi.

– Przewrócicie mnie – żartował.

– Nie! Nie przewrócimy! – dzieci śmiały się i skakały z radości. – Stęskniłyśmy się za tobą.

– Dajcie mu spokój – Baczmagowa pogroziła córkom palcem. – Siadaj do stołu i mów, co u was? Zupa już gotowa, to ci naleję, a z obiadem poczekamy, aż wujo wróci.

– Ostatnio, to chyba na wykopkach u was byłem, ale to dlatego, że dostałem prace w tej ekipie remontowej, co jest przy Gminie – Franek jadł i opowiadał.

Ciotka spojrzała na niego.

– W tej co ojciec robił, zanim go wywieźli? – spytała.

– W tej samej.

– A ty, co tam robisz?

– No, teraz właśnie przerwa, bo mrozy przyszły. Dlatego miałem czas wpaść do was. Ale wcześniej, to różnie. Ojciec, jak jeszcze pracował, to najpierw kończyli budowe nowego Arbeitsamtu na rogu Północnej i Kilińskiego. W tym domu, co to właścicielem był wasz wójt Maksymowicz. Też go wywieźli… dom zabrali…

– Wiem przecie, gdzie mieszkał i że go zabrali. Toć to nasz wójt był, a nie wasz. Boże, Boże, co to za czasy?

– No, tak. Co to ja mówiłem? Acha! No i jak w lutym skończyli z tym Arbeitsamtem, to poszli do Czechów kończyć budowe plebanii. Teraz tam Berger siedzi.

– Też słyszałam. Pytałam, co ty robisz?

– No, rano to najpierw pale w piecach w łaźni. Później ide do roboty i różnie: maluje, dziury w ścianach łatam lub tynkuje.

Troche sie przecież na tym znam. A wieczorem razem z siostrami pomagam mamie łaźnie sprzątać. A w ogóle to te robote, to pan Longin Grodkiewicz mi załatwił. On też tam robił, ale teraz pracuje w sklepie żelaznym u Volksdeutscha Dalkego. No, wie ciocia, pan Longin, brat naszego byłego proboszcza, Jana Grodkiewicza.

Gospodyni przytaknęła głową.

– Ciekawe, gdzie teraz jest biedaczysko? Jak go ponad rok temu z innymi kapłanami zabrali, to słuch o nim zaginął.

– To ciocia nie wie? – zdziwił się Franek. – A jednak jest coś czego ciocia nie wie – dodał z satysfakcją.

– Ty się nie wymądrzaj tylko mów, jak wiesz – fuknęła na niego delikatnie i uśmiechnęła się.

Franek spoważniał i mówił dalej:

– Już na początku maja przyszła wiadomość, że zginął w obozie w Dachau. Tylko paczkę z ubraniem przysłali.

– Mój Boże! – kobieta załamała ręce i usiadła na krześle obok Franka. – Wszystkich nas wymordują – dodała. – A zobacz Franek, co oni z tymi Żydami porobili. Ledwie się gdzie jaki uchował, a tyle ich było. Martwię się o Dawida, bo zima coraz większa.

– Jakiego Dawida? – chłopak spojrzał zdziwiony na ciotkę.

– No, jak to jakiego? Przecie, że twojego Dawida. Tego, co to razem we wakacje po komórkach ciekaliście i dziadek się denerwował, że dachy pozarywacie... Prawda!... Ty nie wiesz, że on już od września w lesie, w waszej ziemiance się ukrywa. Wyrwało mi się, a miałam nikomu nie mówić. Tak prosił Dawid.

Franek nie słuchał już dalej, tylko włożył szybko buty, kapotę i pognał co sił, w kierunku lasu. Po kilku minutach stał już przed białym, okrytym śniegiem pagórkiem i odsłaniał im tylko znane wejście.

– Dawid – szepnął, wchodząc do środka. – Jesteś tu?

Zanim jego oczy przywykły do panującego wewnątrz mroku usłyszał znajomy głos.

– No, nareszcie. Zapomniałeś o przyjacielu – powiedział z wyrzutem Dawid.

– Ja nie wiedziałem. Ja myślałem, że ciebie razem ze wszystkimi wywieźli. Jak Boga kocham – Franek tłumaczył się, jak tylko mógł. – Skąd miałem wiedzieć, że uciekłeś? Dowiedziałem sie dopiero dzisiaj, jak przyszłem. Nie byłem u wujostwa prawie cztery miesiące. Naprawde. Przecież wiesz, że gdybym wiedział...

– No, dobrze już, dobrze. Prosiłem twojego wuja, żeby nie mówili nikomu, nawet twojej mamie.

Powitali się serdecznie i długo rozmawiali. Najpierw o złych rzeczach, później wspominali stare, dobre czasy. W końcu trzeba było porozmawiać o przyszłości. Ustalili, że Dawid nie może zostać w kryjówce przez zimę. Nie może też wracać do Zelowa. Największą szansę przeżycia dają mu nowe papiery, zmieniające nie tylko nazwisko, ale także pochodzenie... oraz legalna praca na terenie Trzeciej Rzeszy.

Granica

Zbliżała się północ. Franek uchylił jedną z desek stodoły, w której siedzieli w oczekiwaniu na dogodną do przejścia granicy porę. Spojrzał w niebo. Wielki, okrągły księżyc raz po raz wychylał się zza szybko przepływających, pchanych wiatrem, chmur.

– No, to czas na nas – Franek pierwszy wyszedł ze stodoły.

– Niedobrze, że tak widno – odezwał się Dawid.

– Jest Wigilia. Komu bedzie sie chciało łazić w taką noc. Do tego wieje, jakby pies sie powiesił.

Weszli pomiędzy krzaki i chaszcze, które rosły tuż za ostatnimi zabudowaniami wioski. Szli w kierunku rzeki. W nocy wszystko wyglądało inaczej. Poruszające się na wietrze, pozbawione

liści gałęzie drzew i krzewów ożywały, wydając dziwne, piszczące dźwięki. Śnieg skrzypiał pod nogami, a z pobliskiej wioski dobiegało ujadanie psów. Wszystko to tworzyło atmosferę tajemniczości.

– Idź za mną – Franek osłonił ręką usta, bo zimny wiatr nie pozwalał mu mówić.

– Nie zabłądzimy? – spytał Dawid.

– Tyle razy tu chodziłem, że z zamkniętymi oczami bym trafił. Nic sie nie martw. Przejdziemy teraz w prawo i dalej brzegiem. Tam w jednym miejscu jest wąsko, to przejdziemy po pniu, który leży w wodzie.

Już po chwili przeprawiali się na drugi brzeg Grabi. Przed nimi rozciągała się pusta przestrzeń. Do lasu było około sto metrów. Zatrzymali się na chwilę.

– To najtrudniejszy odcinek. Właściwie można go obejść, ale stracilibyśmy z godzine. Gotowy? – Franek spojrzał na Dawida, który stał tuż obok, trzęsąc się z zimna, a może także ze strachu.

– Biegniemy – zakomenderował i zaczął biec w kierunku widocznego przed nimi ciemnego pasma drzew. Byli już w połowie drogi, kiedy usłyszeli gdzieś za nimi głośne:

– Halt! Halt!

Rozległy się strzały. Chłopcy nie oglądali się za siebie. Biegli ile sił w nogach z jedną tylko myślą: „Jeszcze trochę. Jeszcze kawałek". Widzieli przelatujące tuż obok nich pociski, które całymi seriami rozbryzgiwały śnieg dookoła. Wpadli pomiędzy pierwsze drzewa. Nagle Dawid zaczepił nogami o krzaki suchych jeżyn i przewrócił się. Próbował się wyplątać, ale po chwili uspokoił się i uciszył. Spojrzał w kierunku, skąd jeszcze przed chwilą do nich strzelali. Przy iskrzącym się od księżyca śniegu wyraźnie było widać miejsce, z którego wyruszyli. Wokół było pusto. Pomyślał o przyjacielu.

„Franek biegł tuż przed nim i wpadł między drzewa. Pewnie czeka teraz na niego za jakimś pniem" – zaczął powoli odczepiać ubranie od kolców.

Nie wychylał się jeszcze i nie śmiał wołać Franka. Przeleżał tak dobre pół godziny. W końcu postanowił doczołgać się do najbliższych drzew, do których brakowało tylko kilku kroków. Wszedł w las, poczuł się bezpieczniej. Krzyknął przytłumionym głosem:

– Franek!

Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, wrócił na skraj lasu i zaczął wypatrywać śladów na śniegu. W końcu znalazł i ślady i Franka. Przyjaciel siedział oparty o drzewo o kilkadziesiąt metrów dalej.

– Wiedziałem, że będziesz na mnie czekał – powiedział ucieszony.

Franek nie odzywał się.

– Śpisz? – podszedł do niego bliżej i potrzasnął go za ramię.

Chłopak ocknął się. Odezwał się słabym głosem.

– Znalazłeś mnie.

– Szedłem po śladach. Trochę to trwało, bo wpadłem w jeżyny. Nikt nas nie goni. Wstawaj. Idziemy, bo zamarzniemy tutaj.

Franek kiwnął ręką na znak, żeby Dawid pochylił się nad nim i powoli wyszeptał:

– Dobrze, że nie mieli psa, bo byłoby po nas. Ma sie troche tego szczęścia, co?

Dawid spojrzał na niego zaniepokojony.

– Co ty tak cicho mówisz? Nikogo nie ma.

Przyjrzał się bliżej siedzącemu wciąż na ziemi koledze. Dopiero teraz spostrzegł na śniegu, tuż obok Franka, wielką, czarną plamę.

– Trafili cię? – Franek powoli skinął głową. – Sprowadzę pomoc – chciał natychmiast ruszyć w drogę powrotną.

– Czekaj... – powiedział z wysiłkiem ranny chłopak. – Czekaj. Niech złapie troche tchu, to sam pójde. Czekaj Dawid, czekaj. Niech złapie... – mówił z wielkim trudem.

Dawid schylił się jeszcze niżej, aby coś usłyszeć. Franek oddychał ciężko, ale mówił dalej:

– Słyszysz, jak cicho?... a ludzi pełno w kościele... na pasterke przyszli...

– Franek, Franuś – Dawid objął go za szyję. Będzie wszystko dobrze. Zaraz sprowadzę pomoc. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze... – usiadł obok i złapał go za rękę. Oczy miał pełne łez.

– Słyszysz, Dawid? Śpiewają... śpiewaj z nami, śpiewaj. Bóg się rooodzi, moc truchleje... – głowa opadła mu na piersi.

To były jego ostatnie słowa.

Dawid długo siedział na śniegu obok martwego przyjaciela – ostatniej, bliskiej mu osoby. Nie płakał, ale oddech dławił mu jakiś wewnętrzny ciężar, żal olbrzymi, niewysłowiony i nieopisany. Modlił się w duchu. Obwiniał siebie i swój los. Obwiniał ludzi i Boga, i pytał go: „dlaczego?" „Dlaczego właśnie Franek, a nie on? Gdyby mógł cofnąć czas, oddałby swoje życie, za życie przyjaciela. Jego i tak złapią i zastrzelą, on i tak nie ma już dla kogo żyć. Ale Franek? Na niego czekają... Czy tak musiało być?"

Rozmyślał o przeznaczeniu.

„Dwa razy Franek wywinął się śmierci. Dwa razy udało mu się jej uciec. Ale ona łatwo nie rezygnuje. Nie daje za wygraną. Kiedy już raz go dotknęła swymi kościstymi rękami, kiedy swym zimnym i stęchłym oddechem owiała, kiedy już ciepło jego ciała poczuła... to wszędzie go szukała... wszędzie węszyła... i znalazła... i już nie puściła".

„Co teraz?" – pomyślał – „Jeśli wróci, może znów trafić na niemiecki patrol. Sam nie da rady przenieść ciała przez rzekę. Może iść dalej, ale nie wiadomo dokąd. Nie zna adresu. Nie. Przecież go tu nie zostawi. Co ma być, to będzie" – zdecydował i zaczął biec ku rzece.

Po kilkunastu minutach pukał już do drzwi domu państwa Chrzanowskich.

– Kto tam? – zapytał przez zamknięte drzwi gospodarz.

– Strzelali do nas. Franek nie żyje.

Mężczyzna uchylił drzwi.

– Zabili Franka – powtórzył. – Leży przy pierwszych drzewach za polaną. Sam nie dałbym rady go przynieść.

Mężczyzna przeżegnał się, słysząc taką wiadomość.

– A ty? – spytał.

– Co ja? Ja wracam. Idę do Piotrkowa. Do domu nie mam już po co – odwrócił się i pognał tą samą drogą z powrotem.

Szedł, byle dalej – przed siebie. Brnąc w śniegu, potykał się co jakiś czas o wystające konary drzew. Nie miał już nikogo bliskiego. Nie wiedział, co przyniesie dzień. Jaki los jest mu pisany. Ale bardzo chciał żyć. Po prostu żyć.

***

Z samego rana w Boże Narodzenie wjechały do Wejmanów na podwórko sanie ciągnięte przez dwa kare konie. Na dźwięk dzwonków, uwiązanych przy końskich szyjach, pani Maria wyjrzała przez okno.

– Szwagier z Żądeł – powiedziała zdziwiona do męża.

Kiedy Wejmanowa zobaczyła, że Chrzanowski zajechał saniami niemal pod drzwi, natychmiast wybiegła na dwór z przeczuciem, że coś się stało.

– Jezus Maria! Coś z Felicją, czy z dziećmi? – spytała niespokojna o siostrę.

Wejman wyszedł z domu w ślad za żoną. Od razu zauważył dość spory pakunek przykryty płachtą na tyle sań. Podszedł bliżej. Spojrzał pytającym wzrokiem na Chrzanowskiego.

– Chłopaka przywiozłem – otrzymał smutną, stanowczą odpowiedź.

Wejmanowi ugięły się nogi.

– Franek? – spytał cicho.

– Tak – potwierdził mężczyzna.

Pani Maria złapała się za głowę.

– O Boże! O Boże! To przez te wasze… – zaczęła szlochać. – Jak my to powiemy Tereni, jak to powiemy?

Pogrzeb Franka odbył się zaraz po świętach. Chcąc uniknąć pytań Niemców o przyczynę śmierci, matka pochowała go niemal po kryjomu. Obawiała się też, aby nie powtórzyło się to, co stało się kilka dni wcześniej, kiedy Niemcy urządzili przy cmentarzu obławę. Żandarm Nemeczek i Volksdeutsch Neuman z pomocą żołnierzy aresztowali wtedy wielu ludzi.

Po pogrzebie Szkudlarkowa długo nie mogła dojść do siebie. Nie płakała i nie narzekała, ale nic nie mówiła. Siedziała całymi godzinami wpatrzona, gdzieś daleko przed siebie. Prawie nie jadła. Rózia i Krysia popłakiwały cały czas po kątach. Wszystkim zajmowała się Wejmanowa. Nie tylko pomagała dziewczynkom zajmować się domem, ale także przejęła obowiązki przyjaciółki związane z pracą w łaźni, tłumacząc Niemcom, że to tylko na czas choroby dotychczasowej pracownicy. Wezwany do pani Teresy lekarz zapisał leki i zalecił spokój.

– Czas goi wszystkie rany – powiedział.

Tak minął niemal miesiąc. Pewnego dnia Wejmanowa weszła, jak co dzień do mieszkania Szkudlarków. Chciała sprawdzić, co słychać i przeczytać przyjaciółce list, który właśnie otrzymała.

– Tereniu. List od młodej Szylitówny przyszedł. Dopiero, co go ze skrzynki wyjęłam… Frandla pisze, że jest w Austrii. Ogólnie ma się dobrze. Do pracy w fabryce broni w Letten wybrało ją dwóch austryjackich generałów i pracuje przy kontroli technicznej luf do różnej broni. Myślą, że jest Polką i dobrze ją traktują. Są z niej zadowoleni. Umie się porozumieć, bo kolegowała się w Zelowie z Polkami, Niemkami i Czeszkami, więc zna te języki.

Teresa spojrzała na przyjaciółkę.

– Przynajmniej jej jakoś się to życie ułożyło. Po tylu nieszczęściach.

Maria przytuliła ją i ze łzami w oczach powiedziała:

– Nareszcie, Tereniu. Moja kochana. Nareszcie. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Obóz pracy

Nadeszła wiosna 1943 roku, z utęsknieniem oczekiwana przez wszystkich, którym zima dała się we znaki swą surowością. Przebiśniegi wychyliły swe białe kwiaty spod resztek śniegu. Zakwitły drobnym kwieciem krzewy tarniny, powiało cieplejszym powietrzem. Z dnia na dzień życiodajne promienie słońca pobudzały do życia wszystko dookoła. Niestety ludzie nie mogli czuć się jak dawniej, kiedy głównym zmartwieniem o tej porze roku było wybielenie ścian mieszkań i chałup oraz trzepanie dywanów. Wciąż trwała wojna. Pozbawieni ludzkich odruchów najeźdźcy ciągle pragnęli ofiar. Decydowali o ludzkich losach. Wydawało się im, że są panami życia i śmierci.

Żydów nie było już w Zelowie, choć nieliczni ukrywali się jeszcze, a niektórym udało się uciec. Pozostały po nich jedynie sprzęty domowego użytku, ubrania i resztki mebli, które Niemcy wystawili na wyprzedaż publiczną. Kilka tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zostało przez hitlerowców wywiezionych i pozbawionych życia w obozach koncentracyjnych, więzieniach i rozstrzelanych podczas masowych egzekucji. Jednak dla Niemców to nie ludzie ginęli, nie ojcowie, nie matki i nie dzieci. Pozbyli się balastu, niepotrzebnych nikomu przedmiotów, ale tym samym pozbawili się też rąk do pracy. Darmowych robotników do wykonywania najcięższych prac trzeba było jakoś zastąpić.



Złom pożydowski – 1943 r. Z lewej widoczny dom przy skrzyżowaniu ulic: Kilińskiego i Żeromskiego.



Chłopiec. Za nim złom pożydowski – 1943 r.

Już w październiku 1942 roku rozpoczęto w Zelowie budowę obozu pracy przymusowej. Niemcy uznali, że hale produkcyjne i teren wokół fabryki Józefa Jersaka doskonale się do tego nadają. Wejścia do wydzielonej części przeznaczonej dla mężczyzn i kobiet pracujących przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, pracy w cegielni i w ogrodzie oraz prac związanych z utrzymaniem porządku na terenie osady znajdowały się od strony Nowego Rynku. Budynki fabryczne przy ulicy Żeromskiego 21 przeznaczono na filię sieradzkiego więzienia. W dawnych zakładach więźniowie pracowali na tkalni, produkując materiały włókiennicze dla wojska.

Wejście do więzienia poprzedzał budynek biura znajdujący się przy ulicy Żeromskiego 23. W budynku administracji znajdował się też pokój przesłuchań i karcer. Na terenie zakładu, obok biura, stał drewniany „pałacyk". W dawnym domu Jersaka zamieszkali dwaj hitlerowcy, Szlager i Hoffer. Jeden był odpowiedzialny za więzienie, drugi za robotników przymusowych i wykonywane przez nich prace. Rękami polskich robotników Niemcy wybudowali siedem baraków mieszkalnych i wysoki na kilka metrów mur z trzema wieżami murowanych strażnic i drewnianymi ambonami rozstawionymi nad każdym wejściem i na narożnikach murów. Te doskonałe punkty obserwacyjne wyposażone były w karabiny maszynowe i w reflektory, które od zmroku do świtu oświetlały teren wokół ogrodzenia. Cegły na jego budowę zwożono z pobliskich cegielni, a prace nad budową murów nadzorował Wachtmann[86] Paul Rejnhart z Düsseldorfu.

Ogrodzonego terenu pilnowała uzbrojona w karabiny straż więzienna. Strażnicy wywodzący się z miejscowych Niemców oraz żołnierze Wehrmachtu częściej wyznaczani byli do pilnowania porządku podczas prac na terenie Zelowa, między innymi do pilnowania robotników pracujących w ogrodzie warzywnym,

[86] *Wachtmann – z niem. wartownik.*

jaki utworzono na lokalne potrzeby Niemców i dla więźniów w miejscu, gdzie rok wcześniej stała szubienica. Od ulicy Kościuszki ogród odgrodzony był niewysoką, jednometrową podmurówką i siatką. Z boku, przy katolickim kościele, był staw z którego czerpano wodę do podlewania roślin. Dalej ogród ciągnął się aż do ulicy Poznańskiej i za nią, obok elektrowni i rzeźni, aż do łąk. W kierunku ulicy Wąskiej sąsiadował z łąką Pejgów.



Jan Kaliski i zelowski Volksdeutsch

Milena i Zenek bardzo przeżyli śmierć Franka. Bolesne wydarzenie zmieniło życie zakochanej dziewczyny. Zniknęły wszystkie marzenia i plany, jakie snuło dwoje młodych, kochających się ludzi. Zenek stracił najbliższego przyjaciela, kumpla z podwórka i ze szkolnej ławy, ale jako mężczyzna, który w dodatku widział już śmierć z bliska, otrząsnął się szybciej. Nie mógł tylko patrzeć, kiedy siostra wciąż płacze po kątach. Wymyślił więc sposób na skierowanie jej uwagi w inną stronę.

– Cześć – powiedział wchodząc do kuchni.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. Widać było, że jeszcze niedawno płakała.

– Już się dzisiaj kilka razy widzieliśmy – powiedziała zdziwiona.

– Mam sprawę do ciebie. Prośbę właściwie. Bo widzisz, przydałaby mi się pomoc. Sam nie dam rady, bo muszę pilnować piekarni i pieczywo wożę. Zresztą wiesz, że nie mam zbyt dużo czasu.

Patrzył na siostrę czekając na odpowiedź, ale kiedy jej nie otrzymał mówił dalej.

– Widziałaś tych robotników, co w warzywniaku grządki robią? Sieją marchew, sałatę i inne warzywa. Wybiedzone, wychudzone. Ledwie na nogach się trzymają. Po prostu głodni chodzą. Nie mówiłem ci wcześniej, ale kiedy przechodziłem koło fabryki, tam gdzie ich trzymają, widziałem jak przywieźli dla nich całe auto mięsa, tylko… że to były odarte ze skóry psy.

Przerwał, bo siostra zakryła twarz rękami.

– Czasem to ludzie sami podają im coś do jedzenia, bo widzą że z nimi krucho – kontynuował po chwili swoją wypowiedź. – Nawet ostatnio widziałem, jak mała Ola Luszówna bułki im podawała, ale wtedy to Galas pozwolił. Myślę, że my moglibyśmy im więcej pomóc.

– Ale jak? Chcesz im dać chleb? Przecież ich pilnują?

– Z każdej strony na raz to nie pilnują.

– Właściwie mogłabym spróbować – powiedziała nieco podekscytowana.

Zenek usiadł na wprost niej na krześle.

– Ale nie sama. Trzeba by zorganizować kilku chłopaków i dziewczyn. Widzę to tak. Kilka osób będzie spacerować z jednej strony ogrodzenia i zwróci uwagę wartownika. Wtedy ktoś od drugiej strony może spokojnie przerzucić im trochę chleba, czy bułkę. Codziennie zrobię kilka bochenków więcej i będę wam dostarczał. Co ty na to?

– Kiedy zaczynamy? – wstała z werwą z kozetki.
– O! Właśnie. To moja siostra – uśmiechnął się i objął dziewczynę ramieniem.

Przez kilka następnych dni plan Zenka wykonywany był bez zarzutu. Więźniowie zorientowali się o co chodzi i pomagali, angażując uwagę wartowników. Sprawa była prosta i nic złego się nie działo. W końcu chłopcy, którzy brali udział w akcji dokarmiania więźniów popadli w rutynę i przestali mieć się na baczności.

– Rzucaj, Maniek. Nikogo nie ma – powiedział do młodego Ornafa Jurek Pruszak.

Chłopak podszedł blisko siatki okalającej warzywniak i już miał przerzucić owinięty w czystą szmatę chleb, kiedy zobaczył biegnącego w ich stronę żandarma – Teodora Bednarskiego.

Wachtmann skierował w ich stronę lufę karabinu.
– Ręce do góry – krzyknął z daleka.
– Chodu! – wrzasnął Jurek.

Zaczęli uciekać w stronę ulicy Poznańskiej. Za nimi rozległy się strzały. Tym razem na szczęście tylko w powietrze.

Czarnomorscy

W całej Europie trwała „wędrówka ludów". Wojna spowodowała, że ludzie zmieniali miejsce zamieszkania zmuszeni życiową koniecznością, lub przymusowo – wywożeni przez okupantów. Pierwsze wysiedlenia Żydów i Polaków miały miejsce już w 1939 roku. W miejsce dotychczasowych mieszkańców podbitego kraju przesiedlano Niemców z terenów wschodnich: Besarabii, krajów Bałtyckich i Rumunii. Po napaści na ZSRR przesiedlenia nasiliły się. „Czarnomorcy" przyjeżdżali i osiedlali się w Zelowie i w pobliskich wioskach. Zajmowali domy i gospodarki. W kolejnych latach migracja była coraz większa.

Rodzina Baczmagów została wybroniona od przesiedlenia w głąb Rzeszy, mimo to musieli opuścić swój dom i udostępnić go nowym lokatorom.

– Przyszło pismo, że musimy się wyprowadzić – powiedział Bolesław Baczmaga do żony.

Pani Stanisława, aż usiadła z wrażenia.
– Święta Panienko! Co znowu? Gdzie?
– Do Rybaków. Do sąsiadów mamy iść na komorne.
– Nigdzie nie idę. To nasz dom.

Baczmaga przytulił żonę.

– Przyjdą i siłą nas wygonią. Już chyba lepiej, że nas tylko przekwaterują, nie wywiozą – starał się ją pocieszyć. – To i tak lepszy los niż mielibyśmy gdzieś po świecie się tułać. Pamiętasz, jak chcieli nas wysiedlić? Albo tych Żydów w Rynku w Zelowie, pamiętasz? Tych, co wywozili ich wtedy w czerwcu z zelowskiego kościoła. Chyba nie chciałabyś się z nimi zamienić? Ludzie mówili, że trzy dni na chórze ich trzymali bez jedzenia i picia, bez możliwości skorzystania z wychodka. Ci co tam później sprzątali to…, a zresztą co ci będę mówił, przecież wiesz. My żyjemy i to się liczy. A czy będziemy mieszkać tu, czy u sąsiada. Nie martw się. Przyjdzie czas, że Szwaby sobie pójdą i wrócimy do naszego domu.

Teresa Szkudlarek wracała razem z córkami od rodziny z Bujen. Jak co tydzień niosła ze sobą mleko, jajka i świeży, dopiero co wyciśnięty na prasce twaróg. Przed wejściem do domu postanowiła podzielić się z sąsiadkami wiadomościami ze wsi.

– Stefciu! Nie wiesz gdzie wyszła Marysia. Byłam u niej rano i nic nie mówiła, że gdzieś się wybiera, teraz wracam ze wsi, a tu pozamykane na trzy spusty.

– Oj, Tereniu. Dobrze, że cię nie było. Przyszli przed południem i zabrali ich na wywózkę, ale najpierw mieli ich zawieźć

do obozu przesiedleńczego w Buczku. Tylko15 minut im dali na spakowanie rzeczy.

Szkudlarkowa zbladła.

– Pozwól, że usiądę, bo już mam dość. Dość tego wszystkiego – powiedziała zrezygnowana.

– Dobrze, że chociaż Janeczkę Glezerowa wybroniła – kontynuowała Ulańska – bo jej w piekarni potrzebna. Wiesz, że nakaz z Arbeitsamtu tam dostała. Tereniu, musimy pomóc Janeczce. Teraz sama dziewczyna została.

Teresa siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Przyjaciółka pogłaskała ją po głowie i dodała:

– Teraz w mieszkaniach Wejmanów „czarnomorce" mają mieszkać. Zaparzę ci herbaty. Napijesz się?

– Tak, proszę – spojrzała na Stefanię. – U nas na wsi też brat z rodziną do sąsiadów poszli. W zeszłym tygodniu musieli się wynieść. W naszym domu została tylko mamusia, a sprowadziła się jakaś starsza pani z córką i dziećmi. Jakoś tak... Harta i Elejna mają na imię, w sumie miłe dzieci. Z moimi się bawiły i dzieciom brata też nie zabraniają wejść do ich domu. Ich matka w Gminie razem z córką Hankego z Pożdżenic ma pracować. Tyle od bratowej się dowiedziałam. No i widzisz, tak to jest, że jeszcze muszą teraz czyjąś ziemię obrabiać, bo kilka gospodarek razem połączyli i Kubiaka zrobili Bauerem[87].

– My też się wynosimy. Właśnie czekam na Władka, bo poszedł załatwiać mieszkanie. Na Kilińskiego 34 byśmy się przenieśli. Lucynka służy u Kelma, to będzie blisko miała, bo jej tam ciężko. Mówiłam ci już, że on ma tą chorobę Bürgera? Już teraz drugą nogę mu odjęli. Lucyna musi wszystko przy nim zrobić i jeszcze przy dziecku, no i cały dom ogarnąć – Ulańskiej zaszkliły się oczy. – Wszystko na jej głowie, a przecież to jeszcze dziecko – dodała.

[87] *Bauer – bogaty chłop, gospodarz.*

– Tak, dziewczyny na wysług biorą i każą im robić ponad siły – oburzyła się Teresa. – A te byki, darmozjady tylko od rozkazywania. Kiedyś się doigrają... Miarka się przebierze...
Mówił mi dzisiaj Bolek, że ludzie szykują się na Bednarskiego, bo do niego najwięcej urazy mają, a i Hanke łobuz i Dalkemu też by się przydało skórę złoić. Brat mówił, że ludzie gadają, co niejedną dziewuchę po wsiach zbębnił... ale przyjdzie jeszcze na niego sprawiedliwość i wpadnie, jak ta śliwka w rzodkiewki. Kara boska go nie minie.

– Tak, przyjdzie sprawiedliwość. Tak nam Boże dopomóż i Najświętsza Panienko – wtrąciła Ulańska i przeżegnała się.

– Aaa! Jak szłam z Bujen, to widziałam, jak więźniowie znowu wożą płyty nagrobne z kirkutu. Podobno będą nimi wykładać chodniki i przejazdy w bramach. U Pejgi już wyłożyli, i tam gdzie remiza, i do Buczku podobno nawet wożą. Przy kościele chodnik układają. Macewy powywracali i wywieźli, ohele zburzyli, ogrodzenie w części rozebrali, a w części spalili, groby zbezcześcili... a Żydów już nie ma, nie ma komu bronić. Zresztą nawet jakby byli, to co by mogli zrobić? – machnęła ręką.



Kolorowa macewa z zelowskiego kirkutu.

Szkudlarkowa wstała od stołu.

– Muszę jeszcze dzisiaj paczkę wysłać do Kasi. Niby już mam przygotowaną, ale zanim sprawdzą na żandarmerii, a później jeszcze na poczcie, trzeba swoje odstać… Jak zobaczysz Janeczkę, to jej powiedz, że może u nas zamieszkać i mnie raźniej będzie i dziewczynkom. Zresztą sama jej to powiem. Mam nadzieję, że zajrzysz czasem? W końcu będziecie mieszkali tylko kilka domów dalej.

– Oczywiście, Tereniu. Szczęść wam Boże.

– Bóg zapłać. Wam też Szczęść Boże.

Poczta

Zelowska poczta znajdowała się w budynku przy skrzyżowaniu ulic: Sienkiewicza i Wolności. Oprócz listów, telegramów i możliwości skorzystania z telefonu, raz w tygodniu, w jednym wyznaczonym dniu, można było wysłać paczkę do swoich najbliższych przebywających na robotach w głębi Rzeszy.



Poczta w Zelowie.

Chętnych było wielu. Pani Teresa czekała w kolejce ponad dwie godziny. Po cenzurze zawartości przesyłki i odpowiednim jej zapieczętowaniu, urzędnik pocztowy, pan Kapuściński, przybijał pieczęć z napisem Sellau. Była to nowa, używana przez Niemców nazwa Zelowa. Kiedy po załatwieniu wszystkich formalności wychodziła z budynku poczty, podszedł do niej młody, przystojny chłopak – Bolek Krawczyk. Ubrany był w mundur listonosza.



Bolesław Krawczyk – 1943 r.

– Pani Szkudlarkowa! Pani Szkudlarkowa! Mam list dla pani! – listonosz zatrzymał kobietę przed pocztą. – Już w środku panią widziałem, ale nie chciałem tam dawać, bo chciałem z panią

porozmawiać, a jak Naczelnik pan Erich Seidel usłyszy, że na poczcie po polsku mówimy, to strasznie się wścieka. Można nawet oberwać.

– List? Może od córki? – spojrzała z uśmiechem na chłopaka, ale z drżącym sercem odebrała pismo i szybko je otworzyła.

Pobieżnie przeczytała i odetchnęła z ulgą.

– Tak. To od mojej córci. Wszystko w porządku. Ona jest w Dreźnie. Pilnuje dzieci w domu jakiegoś fabrykanta – wyjaśniła – ale dawno nie pisała – nachyliła się i pocałowała listonosza w policzek. Przepraszam – zaczerwieniła się. – To za dobre nowiny. Pierwsze od dawna. Mam sy… miałam syna w twoim wieku.

– Znałem Franka. Właśnie chciałem złożyć moje wyrazy współczucia dla pani.

– Bóg ci zapłać. A ty od dawna jesteś listonoszem? Kiedyś w sklepie pracowałeś?

– Od niedawna, proszę pani. Dopiero kilka miesięcy. Dostałem tę pracę, bo dobrze znam niemiecki. Urodziłem się w Niemczech i 10 lat tam mieszkałem. Do szkoły tam chodziłem.

– To dobra praca i ludzie listonosza szanują.

– Tak, pani Szkudlarkowa. Nawet Niemcy inaczej mnie traktują, jak widzą tę opaskę – wskazał na białą opaskę na rękawie z napisem „Postbote[88]".

– Dawniej to byle gówniarz z Hitlerjugend[89] mógł na człowieka napluć i nic nie można mu było zrobić. Teraz jest inaczej. Dobrze mi się pracuje. Szczególnie dobre wieści lubię nosić, ale nie zawsze to możliwe. Jeszcze raz składam pani moje wyrazy współczucia i życzę pani wszystkiego dobrego. Do widzenia.

– Bóg zapłać. Dobry z ciebie chłopak – powiedziała listonoszowi odjeżdżającemu swoim nowym, służbowym rowerem.

[88] *Postbote – z niem. listonosz.*
[89] *Hitlerjugend – Młodzież Hitlera – niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP.*

Hitlerjugend

Deportacje ludności polskiej przebiegały zgodnie z niemieckimi planami. Osoby zdolne do pracy wywożono i zatrudniano na terenie Trzeciej Rzeszy. W Zelowie zostawali tylko ci, z którymi okupanci mogli się porozumieć lub ci, z którymi robili interesy.

Pan Franciszek Pruszak znany był wszystkim jako człowiek energiczny i aktywny w życiu społecznym osady. Dzięki swojemu pochodzeniu z okolic Czerska, a więc z terenów należących przed pierwszą wojną do zaboru pruskiego, doskonale znał język niemiecki. Z tego powodu często pośredniczył w załatwianiu spraw między niemieckimi władzami, a mieszkańcami osady.

Skromna oficyna państwa Pruszaków stała przy ulicy Kilińskiego pomiędzy domem Libermana, a fabryką Lewiego. W podwórku znajdował się skład węgla i torfu, którym pan Franciszek zarządzał, a czas wolny wypełniały mu sprawy społeczne. Rzadko przebywał w domu. Nie miał czasu na odpoczynek. Najczęściej można go było spotkać na placu z opałem.

– Cześć, tata. Możemy porozmawiać? – spytał Jurek Pruszak.

– Cześć. Przyszedłeś mi pomóc?

– Właściwie to chciałbym, ale w innym sensie, niż myślisz.

– A w jakim, jeśli można wiedzieć?

– Bo ty, tato pomagasz ludziom. Zawsze coś robisz. Msze załatwiliście, Dom Starców na św. Anny i paczki więźniom wysyłacie – dodał.

– Nie ja jeden synu, nie ja jeden. Ksiądz Zych pomagał i Radziszewski i inni.

– Wiem, ale ja też chciałbym coś zrobić dla ludzi.

– Przecież pomagasz. Wiem, że pomagacie więźniom, że chleb im dajecie.

– Wiesz? – zdziwił się Jurek. – Nie mówiłem, bo to nic takiego.

– Wiem – uśmiechnął się ojciec. – I dumny jestem z ciebie. Ale przede wszystkim się ucz. Była wczoraj lekcja religii? Musiałem wyjść, a mama mówiła, że pani Kostelecka nie przyszła?

– Wczoraj pani Maria była chora. Na dzisiaj zajęcia przełożone, ale byłem na Piotrkowskiej na polskim.

– Tak – zamyślił się pan Franciszek – pani Keppe to porządna Niemka. Dużo was tam teraz chodzi?

– Na początku to była tylko Tereska Smolna. Ona tam teraz niedaleko mieszka, po Klapiaku. A wszystkich nas jest sześć dziewczyn i czterech chłopaków. Tyko w takim różnym wieku, że pani Keppe ma dużo pracy przy nas. Właściwie każdego z osobna prowadzi. Przez te dwa lata to dużo nas nauczyła. Ja jestem najstarszy to właściwie mógłbym już nie chodzić, ale pani Janina nieraz mnie prosi, żebym uczył te młodsze dzieci.

– No, widzisz. Mówisz, że nic nie robisz, a okazuje się że nawet tajne nauczanie prowadzisz – ojciec poklepał go po plecach.

Jurek uśmiechnął się, mile połechtany komplementami ojca.

– Wielu moich kolegów pomaga, a nawet dziewczęta pomagają. Choćby to, że małe dzieci podstaw religii uczą. Adela Siekierska uczy katechizmu, a Irenka Musznerówna, to już zanim zamknęli kościół przygotowywała dzieci do Komunii, a teraz w domu też katechizmu uczy – na Wolności, pod czwartym. Uważać trzeba, ale robimy, co możemy i chcielibyśmy więcej. W każdym bądź razie, jak by mnie tata potrzebował, to ja chętnie pomogę – spojrzał na ojca, jakby oczekiwał jakiejś propozycji, ale kiedy ten nic nie odpowiedział, zmienił temat: – Teraz idę do Zenka Pejgi, bo się umówiliśmy.

– No, leć. Tylko ubierz się cieplej. Wiosenne powietrze jest zdradliwe.



Irena Musznerówna ze swoimi uczennicami.

Jurek poszedł prosto do piekarni Pejgów. Przechodząc przez Rynek spotkał siedzącego na ławce Eryka Szulca[90], dawnego kolegę ze szkoły.

– Cześć. Nie za bardzo się wyletniłeś? – spytał z uśmiechem, podchodząc do chłopaka ubranego w mundur Hitlerjugend.

Eryk nie odezwał się. Wstał i spojrzał Jurkowi prosto w oczy. Nagle machnął ręką i strącił mu nakrycie głowy, a zaraz po tym uderzył go w policzek.

– Jeszcze się nie nauczyłeś zdejmować czapki, jak z nami rozmawiasz? – wycedził przez zęby.

Jurek chwycił się za twarz.

– No, co ty! Przecież tyle lat się znamy.

---

[90] *Eryk Szulc – nazwisko zmienione.*

– Może kiedyś byliśmy na ty, ale od dzisiaj masz mi mówić „pan".

Młody nazista odwrócił się i odszedł.



Eryk Szulc na skwerze przy ul. Wolności w Zelowie.

Zelowski oddział Hitlerjugend, czyli niemieckiej organizacji młodzieżowej NSDAP miał swoją siedzibę przy Żeromskiego 39 i w Szkole nr 1. Główną, obowiązującą tam zasadą była wierność Hitlerowi i Trzeciej Rzeszy. Jej członkowie promowali kult zdrowej rasy germańskiej i dyscyplinę. Chłopcy przygotowywali się do roli żołnierzy gotowych oddać życie za Führera. Dziewczęta stały na straży cnót domowych, rodziny i narodu.

Niemiecka młodzież pracowała w gospodarstwach innych Niemców. Uczyła się tam obowiązku, pracowitości i sumienności. W szkole uczyli się strategii, a korzystając z sal, które zajmowała działająca w „jedynce" szkoła łączności, uczyli się alfabetu Morse'a. Jednak najbardziej kładli nacisk na ćwiczenia i sprawność fizyczną. Na boisku przy Szkole nr 1 ćwiczyli musztrę i gry wojenne.

W tym celu wybudowali tor przeszkód, a przy siatce od strony Nowego Rynku wielki drewniany schron przysypany ziemią, który z daleka wyglądał, jak wielki kopiec. W zespołowej grze wojennej należało wykazać się siłą, sprytem i umiejętnościami gry w drużynie. Młodzi chłopcy w brutalny sposób walczyli o zdobycie flagi przeciwnika, broniąc jednocześnie dostępu do własnego sztandaru.

Kiedy Jurek Pruszak spotkał się z Zenkiem, opowiedział o nieprzyjemnej przygodzie, jaka spotkała go w Rynku.

– Eryk zawsze był taki, jakby wszystkie rozumy zjadł i kakaem popił – powiedział Zenek.

– Nie przejmuj się gnojem. Kiedyś przytrzemy mu nosa i będzie skomlał jak pies, żebyś tylko odezwał się do niego. I nie udawaj bohatera, ani nie zadawaj się z nim, bo widzisz wydawałoby się kolega, a… – machnął ręką. – Czasem nieopatrznie coś powiesz i wszystkich nas wyda.

– Przecież nikomu nic nie mówiłem – obruszył się Jurek.

– I dobrze. Ja już w 39. nauczyłem się, że lepiej mniej gadać. Bezpieczniej tak jest. Rozumiesz?

– Rozumiem, ale ty też zrozum to, co ci mówiłem, że chciałbym coś więcej robić niż tylko chleb podawać. Miałeś mi dać dzisiaj jakieś zadanie.

– Na razie siedzimy cicho i żadnych dodatkowych zadań. Nie wystarczy ci ta strzelanina? A jak następnym razem Wachtmann nie strzeli w powietrze? Musimy bardziej uważać. Nie graj bohatera, jeszcze raz ci mówię.

– Łatwo ci mówić. Byłeś na wojnie, walczyłeś o Polskę, ty już jesteś bohaterem.

– Nie jestem i nigdy nim nie byłem. Bohaterami są ci, którzy polegli na polach bitew, jak Mietek Kapuściński pod Mogilnem, Zbyszek Gąsiorowski pod Narwikiem i wielu innych. To ci, których rozstrzelano podczas masowych egzekucji i w więzieniach, i ci których wymordowano w obozach koncentracyjnych, jak ksiądz Grodkiewicz, czy kierownik naszej szkoły – pan Henryk

Wyrąbkiewicz, który też w Oświęcimiu zginął. I oczywiście setki tysięcy Żydów, Polaków i przedstawicieli innych Narodów, zgładzonych w Chełmnie i w innych obozach. Zagazowanych, rozstrzelanych i powieszonych. Tak. To są prawdziwi bohaterowie tych smutnych czasów i nie śpiesz się, żeby zostać jednym z nich. Dobrze ci radzę. A teraz idź do domu. Przyjdź w przyszłym tygodniu. Zobaczymy, co dalej. Ja mam dużo pracy. Swoją robotę też muszę zrobić. Nie martw się. Nie zostawimy tak tego. Przyjdzie czas na rewanż. Zobaczysz. Wspomnisz moje słowa.

Sanatorium na „Patykach"

W biurach Arbeitsamtu, na rogu Północnej i Kilińskiego, panował spory ruch. Młodzi ludzie z całej gminy zgłaszali się w związku z wezwaniem do pracy i na obowiązkowe szczepienia profilaktyczne. Młoda, zgrabna dziewczyna – Maria Figurówna wyszła przed budynek i z uwagą czytała otrzymane przed chwilą skierowanie. W tej chwili podeszła do niej szczupła nastolatka. Marysia spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

– Cześć Józka! Widzę, że ty też dostałaś na szczepienie. Mogłam się domyśleć, że ciebie tu spotkam. W końcu w jednym wieku jesteśmy.

– Cześć. Dawno się nie widziałyśmy. Co u ciebie? – odpowiedziała koleżanka Józia Szubska.

– Najpierw ty opowiadaj – odpowiedziała Marysia, po czym wzięła oparty o ścianę rower, na którym przyjechała i podeszła do przyjaciółki ze szkolnej ławy.

– Chodźmy. Po drodze porozmawiamy – dodała.

– Ano... w szkole u kierownika Freunda pracuję – zaczęła Józka i wskazała głową w kierunku stojącego po drugiej stronie skrzyżowania budynku „jedynki" – ale dzisiaj na badania mam iść i na szczepienie.

– Ja też na badania. A nakaz do pracy dostałam do magazynu z mundurami wojskowymi. Tu niedaleko w dawnym domu Lewiego.

Szły w kierunku Rynku.

– Te szczepienia to tam gdzie przedtem był Arbeitsamt? – spytała Józka.

– Tak. Tam. A jak ci się pracuje? Opowiadaj.

– No, co mam mówić. Nie jest tak źle. W mieszkaniach tylko robię, a całą szkołę inna dziewczyna sprząta. Ja piorę, gotuję. Całym domem się zajmuję. No i ogród też do moich obowiązków należy. Na wiosnę to skopałam całe pole tam wkoło, aż do cmentarza.

– Taki szmat ziemi? – spytała z niedowierzaniem Maria. – Przecież ty taka szczuplutka jesteś. Takie chucherko – uśmiechnęła się. – Dają ci choć co za to?

– Jak czasem dobry humor mają i dobrze coś zrobię, to dadzą na bułkę.

Marysia pokiwała głową.

– Ciekawe, jak to u mnie będzie? Ale najbardziej się martwię, że mamie nie pomogę. Ona ostatnio trochę choruje, a ojca na roboty wzięli.

– Jakoś sobie poradzisz. Zawsze obrotna byłaś – uśmiechnęła się.

– A, wiesz? Wczoraj w kinie byłam – Józka zmieniła temat rozmowy.

– Niemożliwe! W naszym kinie? Przecież Polaków nie wpuszczają.

– Z sąsiadką Szulcówną byłam. Pokazała jakiś swój niemiecki papier i pierwsza weszła, a ja tuż za nią.

Kiedy przechodziły przez skrzyżowanie Dzielnej z Kilińskiego, Marysia wskazała na dom stojący po lewej stronie.

– A pamiętasz, jak tu na weselu byłyśmy? Wszystkich z ulicy, co akurat szli, zaprosili na podwórze – powiedziała, wskazując na dom Libermana.

– Śluby to mieli piękne te Żydy. Najpierw pod tym baldachimem młodzi stali. Później nogą szklankę tłukli. A śpiewali i tańczyli, i grali pięknie. Pochodnie gasili i cały czas. Mazel tov! Mazel tov! i Haj, waj! Haj, waj! Nawet po kojsie[91] każdemu dali.

Tak rozmawiając dziewczęta weszły do budynku przychodni. Nakazano im przebrać się w papierową, długą koszulę sięgająca, aż do kostek i po badaniu lekarskim stanąć w kolejce do gabinetu pielęgniarki, na zastrzyk.

– Jeszcze jakieś świństwo nam wstrzykną – powiedziała Maria do ucha stojącej przed nią koleżanki. – Ja nie idę.

Wyszła z kolejki i niezauważona poszła z powrotem do szatni. Szybko wyszła z budynku. Wsiadła na rower i nie oglądając się za siebie popędziła ulicą Sienkiewicza, a następnie Piotrkowską w kierunku Patyków. Po drodze natknęła się na idących chodnikiem Niemców.

– Patrzcie, jak pruje – powiedział Dalke do kolegów.

– Musisz jej wlepić mandat za szybką jazdę – zażartowali.

Nagle dziewczyna zahamowała raptownie, kiedy przebiegający drogę kot o mały włos nie wpadł pod koła jej roweru, jednak nie zatrzymała się.

– Ale miał szczęście. Ledwie z życiem uszedł. Za to też jej się mandat należy – zażartował jeden.

– Kotu też – dodał, śmiejąc się drugi.

Dalke obruszył się na docinki kolegów. Podszedł do skraju szosy i czekał na dziewczynę.

– Hej! Stój! Zatrzymaj się!

Dziewczyna spojrzała na Volksdeutscha, a widząc, że to znajomy jej ojca nie zatrzymała się tylko krzyknęła:

– Nie mam czasu, panie Dalke. Śpieszę się.

– Gdzie masz numerek[92]? – krzyknął za nią, kiedy go minęła.

---

[91] *Kojs – kieliszek wódki weselnej.*

[92] *„numerek" – w czasie II wojny światowej każdy pojazd posiadał swój odrębny numer (rejestrację), także rowery.*

Przyczepił się do pierwszej rzeczy, która wpadła mu do głowy. Chciał „wyjść z twarzą" przed kolegami widząc, że go zignorowała. Marysia odwróciła głowę, uniosła ręką zwisającą wokół siodełka spódnicę i nie zdając sobie sprawy z dwuznaczności swojej odpowiedzi, krzyknęła:

– Pod spódnicą!

Mężczyźni zaczęli się głośno śmiać.

– Szatan nie dziewczyna – dodał Dalke, kręcąc głową.

Już kilka miesięcy wcześniej Niemcy upatrzyli sobie Zelów, jako idealne miejsce na wypoczynek i rekonwalescencję dla żołnierzy, którzy po leczeniu szpitalnym mieli „dojść do zdrowia" przed powrotem na front. Na końcu Piotrkowskiej, na skraju lasu, urządzili sanatorium. Pomiędzy drzewami, przy starannie wysypanych żwirem alejkach, ustawiono 14 baraków mieszkalnych. Po środku był plac apelowy. Z boku stołówka, cztery baraki szpitalne i baraki gospodarcze. Dalej strzelnica i plac manewrowy, na którym żołnierze ćwiczyli także musztrę.

Maria rzuciła rower koło drewnianej wiaty przeznaczonej na świetlicę. Już tu bywała i wiedziała dokładnie, gdzie może znaleźć koleżankę. Przyjechała do Bronki, którą traktowała, jak starszą siostrę. Młoda, wysoka dziewczyna o piwnych oczach i brązowych włosach pracowała tu z przydziału. Sprzątała baraki, zmywała naczynia na zmywaku, pomagała rozdawać posiłki.

– Cześć, Bronka – powiedziała, widząc ją zamiatającą podłogę.

– Cześć. Co się stało? – spytała przerażona dziewczyna, patrząc na spoconą, czerwoną twarz Marii.

– Byłam w Arbeitsamtcie. Dali mi przydział do magazynu mundurowego.

– Gdzie?

– Na Kilińskiego. W domu Lewiego.

Bronka odetchnęła z ulgą.

– Już się wystraszyłam, że cię wywiozą. Masz szczęście, że robota na miejscu i to nie taka ciężka.

– No, tak… tylko.

– Co? Wolałabyś jeszcze w domu posiedzieć? Masz swoje lata, ciesz się że przy mamie zostajesz.

– No, ale wiesz. Ojca niedawno wywieźli.

– No, właśnie dlatego – przerwała jej Bronka. – Będziesz na miejscu, to matce w domu pomożesz. Widzisz? Ja sobie nie krzywdzę. Zrobię co swoje i idę do domu. Przerwy mam i jedzenie na miejscu. Zaraz tu skończę, to możemy się przejść. Dzisiaj taka ładna pogoda. Mam godzinkę do obiadu, a teraz pusto, bo się ćwiczą. Część wojska poszła na strzelnicę, a ci zdrowsi manewry mają. Jedni udają, że atakują, inni że się bronią. Jedna grupa to aż spod Rochówka naciera na tych, co w okopach tu niedaleko siedzą, a druga spod Bujen Księżych na nich idzie.

Dziewczyna odstawiła miotłę i zdjęła fartuch.

– Nikt ci nic nie powie, że tak sobie chodzisz? – spytała Maria.

– Nie. Bylebym tylko swoich obowiązków nie zaniedbała. Nie są tu dla mnie źli. Chociaż, jak wszędzie. Czasem trafi się taki, co wyzwie od najgorszych, ale jakbym takim miała się przejmować… Oficerowie im nie pozwalają. Rygor trzymają. W zeszłym tygodniu chłop z Grabostowa, co tu mleko przywozi, opowiadał, że trzech stąd poszło do nich na wieś. Pewno przygód jakich szukali. Dwóch weszło do chałupy i jeść wołali. W izbie jeden z nich zobaczył kołyskę z dzieckiem i uwalił się do niej na tego dzieciaka. Matka zaczęła krzyczeć, że jej dziecko udusi, a on tylko się śmiał. Na to wszedł z dworu ten trzeci. Pewnie był starszy stopniem, bo jak ryknął na tamtego, to on od razu się zerwał i na baczność stanął. Wszystko od człowieka zależy. I dobrzy są Niemcy i źli i protestanci są u nich i katolicy też. Ze dwudziestu, co ich tu przywożą na strzelnicę, to mają zakwaterowanie w Zelowie, na Kilińskiego 4, naprzeciw Guderskich. Ostatnio, jak była msza, to oni chcieli iść na nabożeństwo, mówią po francusku i po niemiecku, ale to katolicy - z Alzacji i Lotaryngii. Przełożeni ich nie puścili, więc tamci sobie pootwierali wszystkie okna od ulicy i tak udział we mszy wzięli.

Kobiety szły brzegiem lasu i rozmawiały. Nagle usłyszały krzyki. Zatrzymały się i zza drzewa obserwowały, co się dzieje. W pobliżu grupa więźniów i wyznaczeni przez Biuro Pracy Polacy kopali długi, ciągnący się aż po widnokrąg, rów przeciwczołgowy. W głębokim na kilka metrów wykopie pracowali mężczyźni i całkiem młodzi chłopcy. Część z nich kopała, inni łopatami wysypywali i mieszając z drewnem ubijali piasek, tworząc z obu stron zwarty nasyp. Obok, na ziemi, leżał człowiek. Nad nim w rozkroku stał gestapowiec i bił go lagą po plecach.

– Ty, polska świnio! Robić ci się nie chce.

Mężczyzna osłaniał głowę i wołał o pomoc i zlitowanie. Zdyszany Niemiec w końcu przestał bić i odrzucił kij.

– Wszyscy oberwiecie, jak będziecie symulować robotę – krzyczał hitlerowiec do pozostałych, nadal pracujących ludzi.



Volksdeutsche z Zelowa. Od lewej: żołnierz Luftwaffe obrony przeciwlotniczej, pośrodku cywil, z prawej kursant NSKK - Narodowo Socjalistyczny Korpus Szkolenia Kierowców

POMYŁKA:

Niemieccy żołnierze i cywil. Z lewej członek Waffen SS w Zelowie. Obok żołnierz obrony przeciwlotniczej.

W tej chwili usłyszeli nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się w pobliżu i wyskoczyło z niego kilkunastu żołnierzy. Szybko obstawili teren wokół robotników. Jeden z Niemców dojrzał Bronkę i Marysię, ukrywające się za drzewami.

– Raus! – krzyknął w ich stronę. – Arbeit! Schnell!

– Już po nas – powiedział Bronka do pobladłej ze strachu Marii.

– Panie oficerze. My tu niedaleko pracujemy. W sanatorium. Musimy już wracać – wyjaśniła.

– Siunda, siunda – powiedział po polsku Niemiec, jakby zaganiał gęsi i nie zważając na tłumaczenia dziewczyn, przyprowadził je bliżej grupy.

Podał gestapowcowi jakieś pismo.

– Wychodzić – wrzasnął Niemiec do robotników pracujących w rowie. – W szeregu zbiórka!

Bronkę i Marysię ustawiono razem z innymi, a żandarm rozpoczął odliczanie.

– Eins! Zwei! Drei! – weg[93]!

Wszyscy z numerem trzy dali krok do tyłu.

– Wsiadać na ciężarówkę. Schnell! Schnell! Reszta rozejść się.

Dziewczyny miały szczęście stanęły w szeregu, jako pierwsza i druga. Po wyjaśnieniach pozwolono im odejść.

Ucieczka

We wrześniu 1943 roku Niemcy zajęli drugie duże zakłady – Fabrykę Wyrobów Włókienniczych Karola Rajcherta w Herbertowie. Tak, jak w Zelowie, hale produkcyjne zostały otoczone wysokim, ceglanym murem. Już po miesiącu od jej przejęcia trafili do niej robotnicy przeszkoleni w zakładach Carla Zeissa

[93] *Weg – z niem. precz, wynocha.*

w Jenie. Po zainstalowaniu odpowiednich maszyn ponad trzystu ludzi pracowało przy produkcji śrub napędowych i przyrządów optycznych do niemieckich łodzi podwodnych.



Fabryka Karola Rajcherta w Herbertowie.

W obu zelowskich obozach panowały złe warunki. Więźniowie pracowali po kilkanaście godzin na dobę w zimnie i przy niedostatecznym wyżywieniu. Ciężkie warunki powodowały, że podejmowano próby ucieczek.

W fabryce Jersaka po codziennym, wieczornym apelu więźniowie udali się na zasłużony odpoczynek. Zbliżała się cisza nocna. Jednak nie wszyscy zamierzali spać tej nocy. Na dwóch sąsiadujących ze sobą pryczach toczyła się pomiędzy dwoma więźniami cicha rozmowa.

– Dzisiaj, albo nigdy – powiedział mężczyzna w średnim wieku. – Pogoda jest w sam raz.

– A jak nas złapią? – spytał młodszy od niego, wysoki człowiek, owinięty przykrótkim dla niego kocem, niczym kokonem.

– Najwyżej do karceru trafimy. Raz już brałem udział w ucieczce. W Sieradzu. Ale nas złapali i trafiliśmy na dwa tygodnie do aresztu. Lekko nie było. Jednak, czego to człowiek nie wytrzyma. Pobili mnie, ale się wylizałem. Nie będę tu siedział. Wolę zdechnąć uciekając, niż tu. Decyduj się Adam.

Mężczyzna wahał się jeszcze.

– A, jak?...

– Jak i jak...? Idziesz ze mną, czy nie?

– Idę. Ale się boję.

– Ty myślisz, że ja to się nie boję. Głupi by tylko się nie bał, ale pogoda nam sprzyja. Ponuro i szaro. Deszcz ze śniegiem pada. Strażnicy wolą w cieple posiedzieć, niż moknąć. Skoczymy po drabince na dach, a później zejdziemy z drugiej strony i dalej wzdłuż muru, aż do cmentarza. Tam znajdziemy sobie jakąś kryjówkę i przeczekamy cały dzień. Po 24. godzinach będą myśleli, że już im zwialiśmy, wtedy dopiero pójdziemy dalej przez las. Później się zobaczy. Bylebyśmy tylko stąd się wydostali.

– To zaraz idziemy? – pytał ciągle wystraszony chłopak.

– Odczekamy parę godzin. Prześpij się. Obudzę cię.

Adam przytaknął głową i nakrył się kocem jeszcze bardziej. Po chwili jednak odsłonił twarz i powiedział:

– Józef. Obiecaj mi, że się uda. Powiedz. Po prostu takie zdanie powiedz, że... wszystko będzie dobrze.

Józek spojrzał na chłopca, który przypominał mu dawno nie widzianego syna. Dotknął ręką jego ramienia, spojrzał głęboko w oczy, uśmiechnął się i powiedział powoli i wyraźnie:

– Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Po kilku godzinach Adam lekko potrząsnął śpiącym sąsiadem.

– Już czas. Idziemy. Tylko po cichu.

Mężczyźni niepostrzeżenie wymknęli się z baraku. Rozejrzeli się ostrożnie dookoła. Było cicho. Słychać było tylko kapiącą

z dachu deszczówkę i odgłosy poruszanego przez wiatr kawałka naderwanej papy. Światło reflektora z najbliższej wieży skierowane było w drugą stronę. Wyszli więc z ukrycia i dobiegli do przymocowanej do ściany budynku drabinki. Chyłkiem przedostali się na dach i na chwilę przylgnęli do niego.

– Tam zeskoczymy – szepnął Józek, wskazując miejsce, do którego zamierzali się przedostać. – Później koło muru. Pobiegnę pierwszy. Cały czas trzymaj się mnie. Nie zostawaj w tyle.

– Nie zostanę – wykrztusił z siebie Adam, dzwoniąc zębami ze strachu i z zimna.

Pobiegli wzdłuż ogrodzenia. Kiedy przebiegli ponad sto metrów, serce Józka zaczęło bić radośniej. Na twarzy pojawił się uśmiech. Jeszcze tylko kawałek. Wdrapią się na komórkę i ... Jeden skok i będą wolni. Nagle Adam potknął się i przewrócił. Dopiero po kilkunastu metrach Józek zauważył, że biegnie sam. Zatrzymał się, przykucnął i wypatrywał kolegi. Nagle dookoła leżącego chłopaka zrobiło się widno. Sprawiło to światło reflektora, które nagle wokół rozbłysło, odbierając nadzieję wolności.

– Nie wstawaj. Leż – krzyknął do niego szeptem.

Jednak chłopak zerwał się i zaczął biec. Wtedy padły strzały z karabinu maszynowego. Adam upadł na ziemię. Józef zawahał się. „Wrócić, czy uciekać?" – kotłowało mu się w głowie. Nagle usłyszał, że ktoś biegnie w ich stronę. Szybko ukrył się za wiatą i patrzył. Poznał wartownika. „To Bednarski" – przemknęło mu przez myśl. Tymczasem Adam podniósł się i utykając na jedną nogę próbował uciekać.

– Stój, bo będę strzelał! – krzyknął Wachtmann i oddał strzał w kierunku uciekiniera.

Mężczyzna upadł ponownie. Tym razem już nie wstał. Bednarski stanął nad swoją ofiarą. Dotknął chłopca końcem karabinu, kopnął go lekko i odszedł. Józek ukrył twarz w dłoniach. Łzy napłynęły mu do oczu, jednak po chwili odwrócił się, wdrapał się na komórkę, przeskoczył mur i zniknął w ciemnościach listopadowej nocy.

Koniec już blisko

Z początkiem sierpnia 1944 roku rozeszły się wieści o walczącej Warszawie. Ten kolejny zryw Narodu Polskiego przyniósł nadzieję i wiarę w bliskie zwycięstwo nad znienawidzonym wrogiem i na wyzwolenie ojczyzny. Wschodnia część Polski była już wolna. Armia Czerwona razem z Wojskiem Polskim stała na linii Wisły. Ludzie witali wyzwolicieli kwiatami i uśmiechem. Powoli rozpoczynała się odbudowa zrujnowanych ziem, spalonych domów, fabryk i szkół. Polacy starali się na nowo ułożyć sobie życie w nowej, innej niż kilka lat wcześniej, Ojczyźnie. Jednak wielu ludzi i znaczne obszary ziem wciąż czekały na upragnioną, wytęsknioną wolność.

W niedzielne popołudnie Zenek z Mileną przyszli do mieszkania państwa Szkudlarków w odwiedziny.

– Myślałam, że się na mnie pogniewałaś? – powiedziała gospodyni, witając się dziewczyną. – Zenek to chociaż zajrzał, a ciebie od pogrzebu Franka nie widziałam.

– Pani Tereniu! Ja się na panią pogniewałam? Ja nigdy… ja po prostu… Było mi ciężko i… – Milena miała oczy pełne łez.

– Nie płacz dziecko – przytuliła ją do piersi. – Widocznie już tak musiało być.

– Kochałam go – powiedziała dziewczyna.

– Obie go kochałyśmy. Był dobrym synem i dobrym człowiekiem.

Stały dłuższą chwilę nic nie mówiąc. Pani Teresa głaskała ją czule po głowie. Tuliła w ramionach, jak własną córkę. Zenek przyglądał się z boku pociągając nosem. Też przeżywał stratę przyjaciela.

– No, nie płacz już, nie płacz. Siadajcie, proszę. Zrobię wam herbaty. Zenuś, zawołaj dziewczynki z dworu i siadajcie do stołu.

– Przyszliśmy spytać, co u pani słychać? Czy może coś potrzeba? – zapytała Milena.

– Jakoś sobie radzimy, ale dziękuję. Krysia i Rózia są już duże. Mam z nich wyręke. Pomagają mi w domu i w łaźni.

– Co chciałaś, mamo? – spytały dziewczynki, wchodząc razem z Zenkiem do domu.

– Gości mamy. Umyjcie ręce i chodźcie do nas. W odwiedziny przyszli. Dziewczęta podbiegły do Mileny i przywitały się z nią radośnie.

– Dawno u nas nie byłaś – powiedziała Krysia.

– Dlaczego tak rzadko zaglądasz? – dodała jej siostra. – Nie mamy z kim pogadać, odkąd Lucynka się wyprowadziła.

– Obiecuję, że teraz częściej będę przychodziła – uśmiechnęła się Milena. – A przyszły jakieś listy? Od męża albo od Kasi? – zwróciła się z tymi pytaniami do gospodyni.

– Od męża niestety ciągle nie mam żadnych wiadomości. Już dwa lata minęły, jak go zabrali, ale siostra dostała list od swoich synów. Drugi po tak długim czasie. Oni to dopiero przeszli. Najpierw, to wiecie, byli u Sowietów, później w Ziemi Świętej, gdzie Jezus stąpał, a później do Włoch ich zabrali i walczyli o jakiś klasztor na wysokiej górze. Bardzo długo nie mogli go zdobyć i dużo polskich żołnierzy zginęło. Obaj byli lekko ranni i… ważne, że teraz już wyszli ze szpitala. Wszystkich kazali pozdrowić i ucałować… Franka też – dodała i zaraz posmutniała. – Nie wiedzieli, że… Ale już im napisałam. Może szybciej list dojdzie do nich, bo od nich do Polski to prawie trzy miesiące szedł.

– No, a Kasia? Co u Kasi? – dopytywała się Milena.

– Kaśka to nareszcie taki list napisała, że jakbym tam była, wszystko wiem.

– Mamo, przeczytaj jeszcze raz na głos – poprosiły niemal równocześnie dziewczynki.

– Tak, pani Tereniu. Proszę nam przeczytać – Milena powesełała, kiedy usłyszała o liście od przyjaciółki i spojrzała na kobietę z iskierką w oku.

Szkudlarkowa podeszła do kredensu i wyjęła ostatni list od córki. Usiadła obok nich przy stole i zaczęła czytać:

Drezno, 15 lipca 1944 r.

W imię Ojca i Syna. Witam Was moi kochani serdecznie. Ostatnią paczkę dostałam. Dziękuję. Wszystko bardzo mi się przydało. Dziękuję też za zdjęcie. Dobrze, że chociaż tak mogę Was zobaczyć. Przesyłam też moje dla Was.

Pani Teresa przerwała czytanie i wyjęła z koperty zdjęcie Kasi. Pokazała gościom.

– Ładnie wyszła – powiedziała Milena, przyglądając się fotografii z bliska.

– Pokaż – Zenek nachylił się, żeby także ją zobaczyć.

– A co? Ładna? – spytała z zalotnym uśmieszkiem Krysia.

– I co, Zenek? Ciągle ci się nasza Kasia podoba? – dodała.

Zenek poczerwieniał, a pani Teresa puknęła córkę ręką po głowie, jakby chcąc ją zganić za te podchwytliwe pytania.

– No jasne, że podoba – pewnie odpowiedział chłopak. – Zawsze mi się podobała, ale nie tak bardzo, jak ty – zażartował.

Tym razem Krysia okryła się pąsem.

– Widzisz – powiedziała, śmiejąc się jej mama – nie zaczynaj.

– Czytaj dalej, mamo – poprosiła Rózia.

Jak już pisałam we wcześniejszych listach, u mnie nic takiego się nie dzieje. Opiekuję się Verą i Renate. Traktują mnie, jak starszą siostrę. Jestem z nimi cały dzień. Daję im jeść i kładę spać, a przed spaniem, zawsze oprócz modlitwy, mówią taki wierszyk: „Jestem mała. Moje serduszko jest czyste. Ma w nim nikt nie mieszkać tylko Pan Jezus, Tata i Mama". Później mówię im dobranoc i idę do pokoju pani. Jej muszę powiedzieć: „Dobranoc Wielmożna Pani".

Jest mi tu dobrze. Nie tak, jak było na początku w lagrze[94], w tej fabryce chemicznej. Mam czarną sukienkę i biały fartuszek.

[94] *lagier – niemiecki obóz dla jeńców.* Lager - obóz po niemiecku!

Jedzenie jest bardzo dobre. Jak posłucham, co przeszły inne Polki, to aż mi wstyd, że mnie tak tu dobrze.

Niedawno przyjechały tu do pracy trzy Polki. Dwie są z Warszawy z łapanki, a jedna, wyobraźcie sobie, od nas spod Zelowa, Helcia Kowalska z Helenowa. To, co one przeszły... Straszne rzeczy opowiadają. Te z Warszawy, to nawet taką piosenkę ułożyły:

„Dokoła lasy w niemieckim mieście, a u nas zawsze praca i głód, bo nasze lagry są tutaj w Dreźnie i oznaczone literą „P"... Rozpacz ogarnia człowieka tutaj, gdyż rano trzeba na szóstą wstać. Fräulejn[95] przychodzi światło zapala, woła: „Aufstehen[96]" i trzeba wstać. Lecz bez ochoty wszyscy wstajemy i do roboty śpieszymy się. Po wielkim błocie my się człapiemy i zawsze zdążyć trzeba na czas. Na obiad dadzą trochę polewki i wszystkie zlewki wpakują nam. My nic nie wiemy, my wszystko zjemy, kiedyś w przyszłości oddamy wam..."

A Helcia to miała jeszcze gorzej. Ona jest młodsza ode mnie, ale już się w życiu wycierpiała. Najpierw z całą rodziną wywieźli ją do pracy koło Glogau (Głogów), do majątku Schwusen. Tam plotła koszyki z wikliny. Za jedną złamaną witkę dostawała w twarz, a jak jej się uzbierało przez dzień dziesięć razy – to nie dostawała kolacji. Zimą mieli ich przewieźć dalej do Rzeszy. Ustawili wszystkie robotnice z Polski. Żandarm, taki żółtek jak u nas, po kolei podchodził do każdej dziewczyny i uderzał ją w brzuch kolbą karabinu. Sprawdzał, czy która nie jest w ciąży, a jeśli by była to miało spowodować, że już by dziecko straciła. Dalej wywieźli ją do pracy u Bauera, koło Dachau. Tam zachorowała i miała operację na brzuch (pewnie od tego uderzenia jakiegoś guza dostała). Po wyjściu ze szpitala wracała pieszo do

[95] *Fraulejn – z niem. gospodarz.* Fräulein - PANNA!
[96] *Aufstehen – z niem. wstawać.* Bauer - GOSPODARZ!

majątku i zabłądziła, bo była taka mgła, że na krok nic nie widziała. Nagle podeszła do jakiegoś ogrodzenia i szła wzdłuż niego, myśląc, że trafi do jakiegoś domu. Trafiła prosto na stojącego przy jakiejś furtce Wachtmanna. Powiedziała mu gdzie idzie (bo bardzo dobrze umie po niemiecku), i że wyszła ze szpitala, i że zabłądziła i nie ma już sił iść dalej. On zaprowadził ją do jakiegoś baraku do innych kobiet i tam się przespała, a rano okazało się, że jest w obozie koncentracyjnym. Wystraszyła się, ale podeszła do wartownika i znów wszystko opowiedziała (innemu, bo tamtego już nie było). Wtedy ten drugi zaprowadził ją do oficera i znowu opowiadała, ale pokazała też swoje papiery i że pracuje tam i tam, i że chce dalej tam pracować, że musi wrócić, bo to jej obowiązek. Szkop to obejrzał, wypisał jej przepustkę i kazał wypuścić. Taką miała przygodę, ale strachu się najadła.

Kończę już. Czekam z utęsknieniem, aż ta wojna się skończy i wrócę do Was moi kochani. Całuję Was wszystkich, a szczególnie Ciebie Mamo i moje kochane siostrzyczki. Pamiętajcie żebyście były grzeczne i pomagały mamie. Wierzę, że po wojnie Tata się odnajdzie, zobaczysz Mamo. Pozdrówcie moje koleżanki i państwa Wejmanów, i Ulańskich, i Milenkę i Zenka oczywiście (powiedzcie mu, że niedługo znów do niego napiszę). Odpiszcie szybko. Całuję Was gorąco.

Kaśka.

Przez dłuższą chwilę w kuchni panowała cisza. Każdy ze słuchaczy jeszcze raz rozpamiętywał dopiero co przeczytany list.

W końcu pierwsza odezwała się pani Szkudlarkowa.

– Jak słyszeliście u Kasi wszystko dobrze, ale nie każdy trafił tak, jak ona. No, a teraz powiedzcie, co u was i co na Zelowie słychać? – spojrzała w stronę Zenka.

– „Cukra" zastrzelili – odezwała się Milena.

– Waszego konika? – dziewczynki krzyknęły niemal jednocześnie.

– Stary już był – wtrącił Zenek – ale odkąd pamiętam, był z nami.

– To był nasz kochany konik, a oni go zastrzelili – Milena znów miała łzy w oczach. – Podszedł jeden z żandarmów i po prostu go zastrzelił. Nikogo nie pytał. Tak dla zabawy to zrobił. Szwabisko – dodała z nienawiścią w głosie.

– Koń to jak przyjaciel – powiedziała poważnie pani Teresa. Kiedy to się skończy? – dodała.

Zenek odetchnął głęboko.

– Niedługo proszę pani, niedługo. Wojsko polskie już idzie z Ruskimi i Niemców gonią. W Warszawie powstanie. Pewnie przez to znowu mszy nie pozwolili odprawić w tym miesiącu, tak jak w listopadzie w zeszłym roku, kiedy panią Guderską aresztowali, ale to pani wie, że wtedy szybko ją zwolnili. No, a teraz zakładników zaczęli brać.

– Pewnie Berger tak zarządził? – spytała Szkudlarkowa.

– Jasne – odpowiedział Zenek. – Kto się świnią urodził, skowronkiem nie umrze.

– A, co z tymi zakładnikami? – pytała dalej.

– Głównie młodych chłopaków aresztowali. Od wczoraj trzymają ich u Baptystów i w waszym kościele. Dostępu do nich nie ma. Nie wiadomo, co z nimi zrobią. Jeden znajomy Niemiec mówił ojcu, że to taka akcja prewencyjna – na postrach. Mają ich szybko puścić.

– A co u rodziców?

– Dziękuję, dobrze. Zdrowi. I w piekarni też dobrze. Niemcy też muszą jeść, pani Szkudlarkowa, ale dzięki temu, że piekarnia działa, to możemy innym pomagać. Od jakieś czasu karmimy tych, co w ogrodzie pracują. Tylko teraz coś przebąkują, że obóz u Jersaka już niedługo zlikwidują. Szwabom ziemia u nóg się pali, to powoli podwijają ogon. Da Bóg, że koniec tych ich rządów i pójdą precz. Tylko więźniowie boją się, bo nie wiadomo,

co z nimi zrobią. Musimy już iść, pani Szkudlarkowa. Tak, jak siostra mówiła, gdyby trzeba było w czymś pomóc, to proszę dać znać. Zawsze jesteśmy do dyspozycji.

– Jeszcze raz wam dziękuję. Pozdrówcie rodziców.

– Proszę się nie martwić. Niedługo wszyscy razem pójdziemy na „Trytwę" do Faflaka. Jeszcze wszystkich stawów nie zasypali. Posiedzimy, potańczymy, napijemy się limoniady. Pani z mężem i Kasia, i dziewczynki, i ja z siostrą i rodzicami, wszyscy pójdziemy.

– Tylko Franka i Dawida nie będzie z nami – wtrąciła Milena.

– Będą przy nas. W naszych sercach i wspomnieniach – odpowiedział Zenek. – Czy ty myślisz, że Franek by sobie darował, gdyby nie był z nami, choćby niewidzialny? – spojrzał na siostrę, uśmiechając się serdecznie.

Odpowiedziała także uśmiechem.

– Do widzenia, pani Szkudlarkowa. Koniec już blisko. Niemcy już portkami trzęsą – powiedział już za progiem i pokiwał dziewczynkom na pożegnanie.

– Do widzenia. Niech Bóg wam błogosławi – odpowiedziała pani Teresa, patrząc za wychodzącym rodzeństwem.

Wyzwolenie Zelowa

Początek 1945 roku przyniósł duże zmiany. Coraz częściej mówiło się o zbliżającym się froncie. O kolejnych wyzwalanych przez Sowietów i Polaków terenach. Wielu Niemców uciekało. Zwłaszcza władze okupacyjne oraz ci, którzy mieli najwięcej na sumieniu.

Kierownik Arbeitsamtu, Josef Fuchs z rodziną, szykowali się do opuszczenia Zelowa.

– I jak, panie doktorze? Może jeszcze zmieni pan zdanie i pojedzie z nami? – powiedział do doktora Łuczyńskiego. – Ruscy nie są takim kulturalnym narodem jak my, jak się dowiedzą, że

u pana mieszkał niemiecki oficer nie będą zadawać pytań, tylko od razu rozstrzelają pana i pana rodzinę.

– Panie Fuchs – spokojnie odpowiedział Łuczyński. – Już raz powiedziałem, że jestem Polakiem. Czy mam być farbowanym Niemcem?

– Na razie wyjeżdżamy – odpowiedział nieco wzburzony Niemiec – ale nasz wódz ma jeszcze w zanadrzu tajną broń. Wkrótce jej użyje, a wtedy zobaczymy... – spojrzał prosto w oczy Łuczyńskiego i po chwili dodał:

– Odpowiem panu na pytanie, które kiedyś mi pan zadał. Pytał pan dlaczego Zelów nie był nawet draśnięty we wrześniu 39, choć wokół wszystko bombardowano i palono. Otóż tylko dlatego, że na niemieckich mapach Zelów zaznaczony był czerwonym kółkiem. Był pod specjalną ochroną, bo to Czeska osada z dużą ilością niemieckich mieszkańców. Mam jeszcze kilka dni do wyjazdu. Niech pan się jeszcze zastanowi. Dobrze panu radzę, bo przecież mogę pana zabrać ze sobą – wbrew pana woli.

Fuchs opuścił Zelów po trzech dniach, ale bez Włodzimierza Łuczyńskiego, który ukrył się na kilka dni u sąsiadki Adeli Fibichowej, pod numerem 41.

***

Pewnego mroźnego dnia pojawiły się w Zelowie pierwsze samochody z żołnierzami wyzwoleńczej Armii Radzieckiej.

– Chłopak! Chłopak! – krzyknął jadący w zdobycznym niemieckim łaziku oficer.

– Kuda Buczek, Łask?

Niespełna piętnastoletni Marian Ornaf szedł ulicą Kilińskiego w kierunku swojego domu.

– Pakaży dorogu – zwrócił się do niego oficer.

Chłopak niepewnie podszedł do auta. Ruski żołnierz podał mu spory kawałek papieru.

– Ty nie bojsja. Djerży piat złoty. Pakaży dorogu.

Za pierwszymi samochodami pojawiły się oddziały wojska, które rozjechały się po całej osadzie i okolicznych wioskach. Rozpoczęło się szeroko zakrojone polowanie na Niemców.

– Strjelaj! Nu! strjelaj! – krzyknął radziecki żołnierz, spoglądając na kolegę, który trzymając broń gotową do strzału, stał naprzeciw Niemca, jak wryty.

– Nie mają już amunicji – powiedział żołnierz, opuszczając „pepeszę"[97]

– Zastrzelił dwóch naszych. Strjelaj.

Rosjanin stanął koledze przed lufą, zasłaniając Niemca.

– To mój syn – wykrztusił dziwnym głosem.

– Kak? Twoj syn?

– Mój. Mam żonę Niemkę. Wysiedlili nas i oni wyjechali, a ja uciekłem do armii.

– Idi czortu! Naszich ubił!

Wyższy stopniem kolega odsunął swojego towarzysza na bok i wystrzelił serię z automatu w kierunku zatrzymanego mężczyzny.

Przeszukiwano domy i komórki, ogrody i lasy. Zatrzymanych Rosjanie zbierali w grupy. Przyprowadzano ich, co jakiś czas, do Rynku. Po kilkunastu złapanych ludzi. Sprawdzano dokumenty. Polaków wypuszczano, Czechów i Niemców rewidowano.

– Pod ścianę i ręce w górę – powiedział po polsku radziecki żołnierz. – Nazwisko i narodowość – spytał wystraszonego mężczyznę.

– Rudolf Dalke – padła odpowiedź.

– Niemiec?

[97] *Pepesza – potocznie radziecki pistolet maszynowy kal. 7,62 mm.*

– Nie, Polak.

– Gdzie masz dokumenty?

– Niemcy mi zabrali – kłamał przekonywująco.

Przeszukując ubranie zatrzymanego, żołnierz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– A, to co? – wyjął plik banknotów i dwa złote pierścionki.

– To dla was – odpowiedział Dalke.

Rosjanin schował zdobycz za mundur.

– Wynocha – odepchnął Volksdeutscha na bok. – Następny – zawołał w kierunku kolegów pilnujących zatrzymane osoby.

Do muru podszedł starszy człowiek. Uniósł w górę drżące, powykręcane artretyzmem ręce.

– Polak, czy Niemiec? – spytał żołnierz.

– Niemiec – odpowiedział ledwie dosłyszalnym głosem mężczyzna.

– Puśćcie go – odezwała się z grupy zatrzymanych jakaś kobieta. – Przecież widzicie, że to staruszek.

– Ty choczjesz jewo? – spytał z uśmiechem jeden z radzieckich żołnierzy. – Nu, dawaj litr spirytu i pauczisz jewo[98] – śmiał się dalej.

– Nie mam – odpowiedziała.

– Tak i niczjewo iz etowo – popchnął Niemca do grupy zatrzymanych.

Efektem łapanek było zabicie kilkunastu Niemców. Wielu aresztowano. Zginęło też kilku radzieckich żołnierzy. Pochowano ich w tymczasowych mogiłach, między innymi na podwórzu przy domu na Kościuszki 102, przy siatce na boisku szkolnym przy Szkole nr 1 i przy plebani kościoła ewangelicko-reformowanego.

19 stycznia 1945 roku przy domu doktora Łuczyńskiego zatrzymał się niemiecki samochód marki Volkswagen. Z dużego,

[98] *pauczisz jewo – z ros. dostaniesz go.*

czarnego auta wysiedli oficerowie radzieckiej armii. Po wydaniu rozkazów rozlokowali się w mieszkaniach państwa Łuczyńskich. Tuż obok, przy Kościuszki 41 na podwórze wjechały samochody i wozy konne wyładowane zdobycznym towarem. Ciężarówki pełne były mebli i różnego innego sprzętu, na wozach ryczały krowy i chrząkały świnie. Do domu wprowadzili się na kwaterę radzieccy żołnierze, którzy zajmowali się ochroną dowództwa.

– Kto jest jeszcze w domu? – spytał Fibichowej pierwszy z wchodzących kierując broń w jej stronę.

– Jestem tylko ja i służąca z chorą córką – pokazała na Stasię i małą Lucynkę.

– Gdzie mąż?

– Jarosław na wojnę poszedł.

– Ty jesteś gospodynią?

– Tak.

– A poza tym, co robisz?

– W Krankenhaus[99] pracuję.

– Co jest dziecku? – zwrócił się w stronę Stasi Gasińskiej.

– Ma zapalenie płuc, panie oficerze. Jest w ciężkim stanie.

Lejtnant odwrócił się i wydał rozkazy.

– Kobietom i dziecku nie może stać się żadna krzywda. Paniatna? – odwrócił się poszedł na kwaterę.

Jeszcze dwa dni trwały aresztowania Volksdeutschów oraz niemieckich żołnierzy stacjonujących w Zelowie i złapanych w okolicy. Sowieci umieścili ich najpierw w niedokończonej synagodze, a następnie w kamienicy, przy ulicy Śmigłego–Rydza 84, gdzie trafiła także Adela Fibich. Trzeciego dnia o świcie Rosjanie zwolnili część jeńców. Pozostałych, głównie niemieckie wojsko i „czarnomorców", czyli jak mówili „zdrajców Stalina",

[99] *Krankenhaus – z niem. przychodnia, szpital.*

wyprowadzili na podwórze. Żołnierzom kazali zdjąć górną część odzieży i buty, unieść ręce w górę. Szukali pod prawą pachą delikatnego tatuażu oznaczającego przynależność do SS. Tych likwidowali natychmiast, strzałem w tył głowy. Z pozostałych, co kilka minut zabierali po dziesięć osób i wyprowadzali za stajnię. Ustawiali ich w pobliżu ubikacji. Naprzeciw nich stawali żołnierze z pepeszami. Więźniowie nie próbowali uciekać. Patrzyli prosto na oprawców. Niedawni drapieżcy stali się teraz ofiarami. Padały strzały. Upadali najpierw na kolana, potem twarzą w błoto i w gnój lekko przyprószony śniegiem. Ciała zabitych więźniowie wrzucali na ustawione obok wozy. Potem przyprowadzali następnych. Resztę więźniów zgrupowali w dwuszeregu i przeprowadzili dalej, pod las, gdzie były wykopane wcześniej dwa rowy.

– Agoń! – padła kolejna komenda.

Ciała niemal dwustu ludzi zakopali w dwóch zbiorowych mogiłach.

Następnego dnia wieczorem niezwyciężona, wyzwoleńcza Armia Radziecka opuściła dom państwa Łuczyńskich i osadę Zelów, w której nie było już ani Żydów, ani niemieckich żołnierzy.

Kiedy odjeżdżał ostatni samochód, doktor Łuczyński wyszedł razem z żoną na ulicę. Patrzyli na oddział radzieckiego wojska. Śnieg zaczął padać i powoli zakrywał ślady kół pozostawione na drodze.

– Zimno mi – powiedziała pani Narcyza. – Chodźmy do domu.

Doktor westchnął głęboko.

– Z deszczu pod rynnę trafiliśmy. Z deszczu pod rynnę…

KONIEC

Zelów, dn.16 marca 2014 roku.

Bibliografia i teksty źródłowe

Gramsz Andrzej, Papuga Sławomir, *Zelów Wspólnota nacji, wyznań, kultur*, Łódź 2003.
Ks. Ciosek Kazimierz, *75 lat Parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Zelowie 1926 – 2001*, Zelów 2001.
J. Góral, R. Kotewicz, Z Tobjański, *Zarys Dziejów Zelowa*, Urząd Miasta i Gminy Zelów, 1987.
Kopka Sławoj, *Wszyscy się nas boją*, Zelów 2012.
J. Góral, *Bełchatów pod okupacją niemiecką (1939 -1945)*, [w:] *Bełchatów*.
http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Żydów_w_Bełchatowie.
http://www.youtube.com/watch?v=4UE3ctigSlc.
Kluk Józef – pisemny życiorys.
Rómmel Juliusz, „Za honor i ojczyznę" wspomnienia dowódcy armii "Łódź" & *"Warszawa"*.
Z artykułu w "Ilustracja Polska" z 1934 r. reportaż o Zelowie "mieście sekt".
http://wielkieoczy.itgo.com/Memories/RM.htm Wspomnienia Ryszarda Majusa.
Uroczysty Akt Poświęcenia na Wieczną Rzeczy Pamiątkę pod Budowę Elektrowni i Rzeźni w Zelowie 1930.
Pisemny życiorys do wiadomości IPN Zofii Wolskiej (Frandli Szylit).
Brzezina Maria, *Polszczyzna Żydów*, PWN 1951-1986.
Czekanowska Anna, *Świat rzeczywisty – świat zapamiętany. Losy Polaków we Lwowie (1939-1941)*, Lublin 2010.
Prekerowa Teresa, *Zarys Dziejów Żydów w Polsce w latach 1939 – 1945* Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1992.
Wirkowski Eugeniusz, *Kuchnia Żydów Polskich*, Warszawa1988.
Miesięcznik Parafii Ewangelicko-Reformowanej w Zelowie, *Nowiny* Nr 4 (31), kwiecień 2012.
Mały Dziennik Nr 10, Rok IV, 11 stycznia 1938, Nr 13, Rok IV, 14 stycznia 1938, Nr 103, Rok IV, 14 kwietnia 1938, Nr 116, Rok IV, 29 kwietnia 1938.
http://www.youtube.com/watch?v=2D0XSWniLP0 – komunikat radiowy z 1września 1939.
http://www.historiawielunia.uni.lodz.pl/1wrzesnia2.html.
http://fzp.net.pl/historia/odezwa-zarzadu-i-naczelnej-rady-rabinow-rp-z-2-wrzesnia-1939-r.
http://zdzislawsztorm.salon24.pl/122570,obalamy-mity-zydowska-piata-kolumna.
http://www.izrael.badacz.org/kultura/judaizm_modlitwy.html.
Archiwum Państwowe w Łodzi – Oddział Zamiejscowy w Sieradzu.



Dariusz Kaczmarek -
od urodzenia w dniu 27. sierpnia 1965 r. mieszka w Zelowie. Z wykształcenia jest fizjoterapeutą i pedagogiem.
Od wielu lat prowadzi Stowarzyszenie Przyjaciół Osób Niepełnosprawnych oraz Integracyjny Ośrodek dla Osób Niepełnosprawnych.
Jest radnym Rady Miejskiej w Zelowie.

OBOK NAS 1933-1945, to pierwsza jego publikacja. Powieść historyczno-obyczajowa ukazująca losy mieszkańców Zelowa w latach przed i w trakcie II wojny światowej. Oparta na wspomnieniach osób, które przeżyły opisywane wydarzenia.

W książce przedstawione są losy bohaterów pochodzących z różnych środowisk kulturowych i religijnych, które splatają się w codziennym, szarym życiu, z wydarzeniami, na które nie mieli wpływu.

Pogłębiając swoje zainteresowania historią, autor pragnie przekazać czytelnikom, że ważna jest pamięć o tym, co minęło i o ludziach, którzy żyli obok nas, tylko nieco wcześniej.

ISBN 978-83-939552-0-6